POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 10-go czerwca 1944r.*** — **Rok VI. Nr. 23**

WOLNOŚĆ CZŁOWIEKA

Przed wybuchem wojny niektórym badaczom społecznym zdawało się, że ideał wolności w świecie poczyna słabnąć. Zastanawiano się nawet wielokrotnie nad formami, w jakich wolność będzie mogła być zastąpiona przez przymus. Jest mimowolną zasługą systemów totalnych, że wywoławszy nową wojnę światową, uprzytomniły ludzkości ponownie wielkość i konieczność ideału wolności. Straszliwa cena, jaką ludzkość płaci i jeszcze zapłaci za naukę pobieraną obecnie, wymaga, aby każdy z nas zdawał sobie dokładnie sprawę, o jakie wartości i o jaki rodzaj wolności toczy się wojna obecna.

Mogło by się zdawać jednemu czy drugiemu, że dla nas Polaków takie zastanawianie się jest zbędne, tylekrotnie walczyliśmy przecież pod hasłem: "Za naszą wolność i waszą!" Mamy nawet hymn na cześć wolności o Polaku, który "wolnością żyje, do wolności wzdycha, bez niej jak kwiatek bez wody usycha". Ale i nam nie zaszkodzi trochę zastanowienia i pogłębienia.

Ojciec św. w swoich pięciu zasadach sprawiedliwego pokoju postawił na pierwszym miejscu, zgodnie z poglądem wszystkich zjednoczonych narodów, "zapewnienie każdemu narodowi, wielkiemu czy małemu, silnemu czy słabemu, prawa do życia i niepodległości." Podobnie "Karta Atlantycka," określając w punktach: 3 — 8 cele wojny państw anglo-saskich w stosunku do innych narodów, na pierwszym miejscu stawia postulat, "aby suwerenne prawa i samorząd przywrócone zostały tym narodom, którym odebrano je siłą". Obydwa postulaty dotyczą więc wolności i niezależności państwa narodowego jako problemu naczelnego.

Jednakże "Karta Atlantycka" w punkcie 6. dodaje jeszcze inne kategorie wolności i osiągnięcie ich stawia wśród celów toczącej się wojny, a mianowicie "zapewnienie wszystkim ludziom we wszystkich krajach korzystania z życia wolnego od obaw i niedostatku".

Do tych to dwu wolności prezydent Roosevelt dodał jeszcze dwie dalsze: wolność słowa i wolność wyznania. Niektórzy nie zdają sobie dostatecznie sprawy z tego, jak doniosłą wagę mają owe cztery wolności w dążeniu do uratowania i odrodzenia naszej cywilizacji w dzisiejszej światowej katastrofie.

Jakkolwiek zasadniczą treść czterech wolności prezydenta Roosevelta Kościół katolicki głosił już w ewangeliach i sformułował ją w ostatnich dziesiątkach lat w encyklikach "*Rerum Novarum*" i "*Quadragesimo Anno*," to jeszcze w wigilię Bożego Narodzenia r. 1942-go Papież ponownie zażądał sprawiedliwego ustroju społecznego i ekonomicznego w państwie, zapewniającego obronę godności osobistej każdego człowieka i wynikających z niej praw osobistych, obronę rodziny, obronę godności pracy i prawa do niej, obronę praworządności i chrześcijańskich zasad w życiu państwowym.

Obywatele W. Brytanii, która blisko 900 lat nie zaznała ani jarzma niewoli, ani okropności obcego najazdu, mówiąc o wolności, rozumieją pod nią przede wszystkim "prawo każdej jednostki do własnego, niezależnego życia i do swobodnego wyrażania poglądów oraz wybierania form własnego rządu". O różnicach w pojmowaniu wolności narodów i jednostek między ludźmi kontynentu a Brytyjczykami, oraz o historycznych przyczynach tej różnicy mówił na uroczystym zebraniu polsko-angielskim jeden z najwybitniejszych współczesnych angielskich myślicieli i społeczników, arcybiskup Canterbury dr. Tempel. W szczególności podkreślił, że nie doceniamy wagi różnic tych poglądów. Brytyjczycy bowiem rozumieją, że "wolność suwerenna narodu może doprowadzić do ograniczenia wolności obywateli, a z drugiej strony efektywna wolność jednostek zależy również od wolności całego społeczeństwa."

Prawdą niezaprzeczalną jest, że tylko we własnym państwie obywatel może i powinien uzyskać wszystkie te wolności, do których prawo daje mu ustanowiona przez samego Stwórcę godność człowieka. Gwarancję uzyskania i utrzymania tych wolności daje tylko ustrój demokratyczny, w którym rząd jest kontrolowany przez przedstawicielstwo narodowe i przed nim odpowiedzialny. Wolność pozornie równa dla wszystkich, tak jak ją rozumie liberalizm, nie wystarczy jednak, gdyż daje ona możność wyzyskiwania ekonomicznie słabszego przez ekonomicznie silniejszego /"wolny lis w wolnym kurniku"/. System ten przyczynił się właśnie w niektórych krajach do zdewaluowania w oczach warstw ekonomicznie słabszych ideału wolności i otworzył drogę hasłom i wpływom obcym, wyzyskującym słabość państwa opierającego się na obywatelu niezadowolonym, bo krzywdzonym przez ustrój ekonomiczny i społeczny.

I dlatego słusznie chrześcijańska nauka o państwie wiąże zasadę wolności z prawem, a od prawa domaga się, aby było zgodne z zasadami sprawiedliwości i miłości bliźniego, czyli aby się opierało na podstawach przez samego Stwórcę ustanowionych. Nie chodzi tylko o to, aby takie postulaty zawarte były w pięknych programach, lecz aby wszystkie czynniki odpowiedzialne uważały pełne ich urzeczywistnienie za pierwszy swój obowiązek i przystąpiły niezwłocznie do jego wykonania, w myśl zasad wyraźnie zawartych w "Karcie Atlantyckiej." Autorzy jej, jako ludzie doświadczeni i przewidujący, zrozumieli jakie niebezpieczeństwa kryją się w skutkach takiej wojny, jak obecna, i wiedzą, że agitacji wywrotowej nie ma tam, gdzie nie ma nędzy i gdzie jest gwarancja zapanowania sprawiedliwości.

Godność człowieka wymaga wolności opartej na takich gwarancjach — wolności, bez której człowiek duchowo i moralnie rozwijać się nie może, co jest nie tylko jego prawem, ale także jego obowiązkiem i racją jego bytu tutaj na ziemi. Zasada obrony wolności i godności obywatelskiej jest zresztą w państwach anglo-saskich bezsprzecznie daleko pełniej przeprowadzona niż w innych krajach, nawet katolickich.

Poszanowanie godności ludzkiej i respektowanie jej praw jest nie tylko jednym z naczelnych postulatów religii katolickiej, jest także, zwłaszcza w czasach dzisiejszych, postulatem rozumu politycznego. Trzeba tylko uświadomić sobie przyczyny tej wielkiej rewolucji, jaką jest sama w sobie obecna wojna światowa, i na podstawie tego, co się dzieje w Europie, wywnioskować, co przyszłość może jej jeszcze przynieść.

W maju 1914 r. pisarz polityczny Paul Louis w "*Mercure de France*", w bardzo trafnym i przez wydarzenia potwierdzonym rozbiorze stosunków europejskich przed pierwszą wojną światową, podkreślił groźbę wybuchów rewolucyjnych po każdej wojnie i dodał już wówczas: "Ostateczna analiza wykazuje, że proletariat zorganizowany decyduje coraz więcej o dyplomatycznych rozwiązaniach. Niektórych rozśmieszy może ta formuła. Wydarzenia jednak wykazują jej prawdziwość — przynajmniej wykazały ją dotychczas". — Dodajmy, że wykazały ją całkowicie także w następnych latach.

W r. 1937, po pożałowania godnych występach władz w Polsce przeciw postulatom ludności włościańskiej, domagającej się od własnej Ojczyzny pełni praw obywatelskich, Ignacy Paderewski zwrócił się z odezwami do ówczesnego rządu i do narodu, wskazując na potrzebę prawdziwej jedności wewnętrznej i zażądał już wówczas powołania rządu jedności narodowej i zniesienia autorytatywnego czy półautorytatywnego systemu rządzenia. Ten wielki i przewidujący patriota, który od Polski niczego nigdy nie żądał prócz tego, by była wielka, silna i sprawiedliwa, widział konieczności chwili tak dobrze, jak Tadeusz Kościuszko, gdy wydawał Uniwersał Połaniecki. Gdyby w r. 1937 spełniono żądania Ignacego Paderewskiego, wiele rzeczy wyglądało by pewnie inaczej.

Bez względu na to, co nam przyniesie przyszłość bliższa czy dalsza, prawdą najwyższej wagi pozostanie dla nas, że powinniśmy skupić wszystkie siły narodu bez reszty do pracy nad odbudową państwowości polskiej. Widzimy w demokracjach anglo-saskich, na jak totalny zdobywają się wysiłek i jak wielkie daje to rezultaty, ponieważ wysiłek ten opiera się na pełnym zrozumieniu jego konieczności przez prawdziwie równouprawnionych obywateli, także najuboższych.

Żadnemu narodowi, po przebytej katastrofie, wysiłek podobny nie będzie więcej potrzebny, jak narodowi polskiemu, i nigdy nie była bardziej oczywista niż obecnie prawdą wypowiedziana przez jednego z naszych myślicieli narodowych, że "duch polski tylko z polskiego ludu odrodzi się" i że tylko z niego "starsza brać zaczerpnąć może sił do życia, do czynu, do tworzenia narodowej przyszłości". "Starsza brać" jednak zrozumieć winna, że nie jest urodzona tylko do komendy, ale że dobro Polski i jej własne dobro wymaga, by stanęła na równi z ludem w jednym szeregu i by wszystkimi siłami bezinteresownie pomagała ludowi temu do spełnienia historycznych zadań wobec Polski.

Polska, jeżeli ma trwać i rozwijać się, musi być chrześcijańska i demokratyczna, jak to widzieli już Tadeusz Kościuszko, Adam Mickiewicz, Joachim Lelewel i tylu innych zasłużonych mężów polskich ostatniej epoki. Nie może być w tej dziedzinie dwóch zdań ani nie ma już chwili do stracenia. Wszakże już 50 lat temu Stanisław Szczepanowski wytykał te i inne gorzkie prawdy "starszej braci" i wołał:

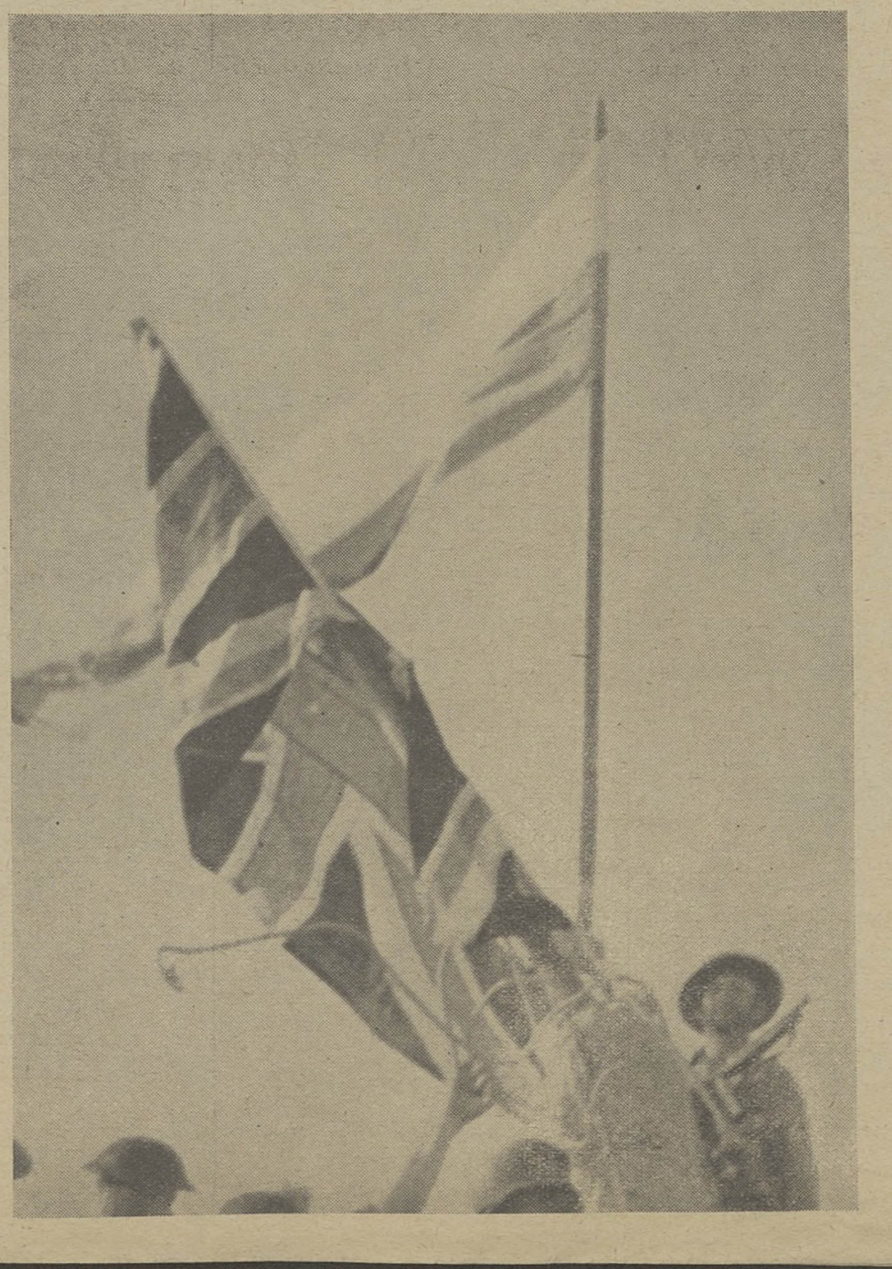
"Przenieśmy na pole usiłowań społecznych, na pole walki o byt, choć część tego bohaterstwa, któreśmy okazali w walce o niepodległość, a staniemy się niezwyciężonymi. To jest bądźmy Polakami nie tylko w chwili, w której trąby wzywają do boju, ale przez całe życie, każdego dnia, w wykonaniu wszystkich obowiązków społecznych, w najpospolitszym czynie życia codziennego . . ."

MICHAŁ KWIATKOWSKI

W chwili zamykania tego numeru nadeszła wiadomość o zajęciu Rzymu przez wojska sprzymierzone i w ślad za nią wiadomość o otwarciu inwazji Europy. Rozpoczęła się rozstrzygająca faza wojny. Nadeszła godzina gorąco przez nas wszystkich upragniona, długo i niecierpliwie oczekiwana. Jest to godzina wielkiego wstrząsu dla naszego umęczonego Kraju, dla całej Europy, wyglądającej wyzwolenia z Wysp Wolności. Wojna wraca na szlaki bitew, w których żołnierz polski raz już krew przelewał. Otwiera drzwi do Ojczyzny. Przybliża godzinę powrotu i pokoju.

W tym dramatycznym momencie uczucia i myśli wszystkich żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych kierują się ku wojskom brytyjskim, amerykańskim i kanadyjskim, które stanęły na ziemi francuskiej, ku sprzymierzonemu lotnictwu, walczącemu o władanie niebem nad Francją, ku marynarce wojennej, odgrywającej ważną rolę w operacjach inwazyjnych. Tym, którzy są w walce towarzyszą nasze najgorętsze życzenia i równie gorące pragnienia, aby dołączyć do ich szeregów.

Bratnie sztandary na Monte Cassino



RZYM W RĘKACH ALIANTÓW

W wyniku świetnie przeprowadzonej ofensywy, w której Korpus Polski odegrał ważną rolę, wojska gen. Alexandra zajęły Rzym.

Wojska niemieckie toczą wyraźnie "*a rearguard action,*" czy jak powiada inne doskonałe wyrażenie angielskie wiodą "*a fighting retreat*". Nie wiemy, czy wojska niemieckie przesuną się od razu dalej, czy też będą chciały prowadzić walkę przez całą długość Kampanii Rzymskiej a potem dalej na północ, aż pod Florencję. Narazie wiele przemawia za tym, że Niemcy będą cofali się powoli, walcząc uparcie.

Zapora Alp jest wielką pokusą dla niemieckiej strategii. Wiemy z wojny ubiegłej, jak silna okazała się ta zapora. Prowadzenie walki obronnej na linii Alp przy zamknięciu niziny otwierającej się na północny wschód od Wenecji, może wydawać się sztabowi niemieckiemu ponętne. Obrona na tej linii może trwać miesiące, jeżeli przypomnimy sobie, że obrona na tzw. linii Gustawa trwała kilka miesięcy. Ale czy sztab niemiecki ulegnie tej pokusie — nie wiemy. Raczej będzie on szedł na plan owego "*fighting retreat*", celem znużenia i osłabienia sił alianckich.

Możliwości jednak powolnego odwrotu Niemców będą wybitnie malały w miarę, jak sojusznicy posuwać się będą korytarzem włoskim. Uzyskanie takich portów jak Ostia, wzmożony napływ sprzętu, możliwości nowych lądowań, i to na obu brzegach, Morza Tyrreńskiego i Morza Adriatyckiego — wszystko to zacznie grać teraz inaczej. Dlatego plany niemieckie mogą być pokrzyżowane.

PRZEMÓWIENIE OJCA ŚW.

Ojciec św. przemówił do świata w dzień swojego patrona, św. Eugeniusza. Mowa Papieża wygłoszona przez radio Citta di Vaticano, była niewątpliwym wydarzeniem. Słusznie ktoś zauważył, że to nie tyle treść mowy papieskiej ile wysoki jej poziom był — rewelacją w "czasach pogardy," w epoce, kiedy mowy stoją na coraz niższym poziomie, kiedy szlachetna myśl ludzka spychana jest przez płaską demagogię, kiedy słuchaczy traktuje się, jak dzieci nie mające pojęcia o świecie. Mowa papieska była mową na najwyższym poziomie, wynikła z głębokiego przemyślenia, oparła się na wielkiej wiedzy historycznej, na rzetelnej mądrości. Politycy oczywiście nie zgodzą się z nią zupełnie — ale nie może być inaczej. Politycy dnia dzisiejszego zdają się coraz odleglejsi od powagi, od znajomości historii, od zastanowienia nad sensem dziejów. Coraz częściej idą na schlebianie tłumowi, na tanią demagogię albo na równie tanie obietnice wspaniałości jutra.

Ojciec św. powiedział wiele rzeczy, z którymi zgodzić się trudno /aluzje do pobicia Niemiec i łagodności wobec pokonanego/, ale powiedział to wszystko w wielkim stylu. Natomiast jest w przemówieniu Papieża sporo rzeczy, które trzeba uznać za wielkie prawdy. Kiedy więc powiada, że tylko przez nawrót do wskazań chrześcijańskich możemy budować zręby trwałego pokoju — Watykan ma rację. Recepty polityczne nie zbawią świata, co więcej, nie dadzą pokoju. Jeżeli staczać się będziemy niżej i niżej w naszej kulturze duchowej, jeżeli hasła przemocy i gwałtu będą dalej się panoszyły — to widoki pokoju są małe. Jeżeli, jak powiedział ambasador brytyjski w Madrycie, Sir Samuel Hoare, w czasie swojego pobytu w Londynie, nie zostanie "odbudowana godność człowieka, której odbudowa i powrót stanowią najgłębszą tęsknotę Europy" — to istotnie, pokój będzie tylko przedpokojem nowej wojny.

Szkic sytuacyjny

Przypomnienie prawd moralnych przez Ojca św. było bardzo na czasie. Bez tych prawd, bez tych podstawowych zasad życia — nie może być mowy o trwałej polityce pokoju; i mężem stanu jest dopiero ten, kto pojmuje, że polityka w najwyższym swoim wyrazie jest pracą na podstawie owych właśnie zasad, że zahacza ona o poczucie prawa, o dobrą wolę, o zasadnicze instynkty człowieka. Doskonały miesięcznik brytyjski "*The XIXth Century*" przytacza na okładce swojego czerwcowego zeszytu wyjątek z traktatu pisarza angielskiego Berkley'a p.t. "*Sirius*", który to wyjątek powiada: "*A zasię ten, który nie rozmyślał wiele o Bogu, nie medytował nad umysłem ludzkim i nad dobrem najwyższym człowieka, może być wcale tłustym i w powodzenia obfitującym robakiem drążącym w ziemi, ale będzie on niewątpliwie kulawym patriotą i żałosnym mężem stanu.*"

BAZY AMERYKAŃSKIE W ROSJI

Radio moskiewskie podało do wiadomości, że dla skutecznego bombardowania celów na froncie wschodnim powołano do życia współpracę sztabów lotniczych U.S.A. i Rosji. Waszyngton oznajmił, że bombowce amerykańskie, które podniosły się z lotnisk włoskich i bombardowały cele w Rumunii, lądowały w Rosji. Doniesienia korespondentów alianckich z Moskwy dowodzą, że bazy amerykańskie w Rosji są na wcale poważną skalę. Korespondent *Sunday Times'a* przewiduje, że niebawem powstaną i bazy angielskie. Komentatorzy amerykańscy widzą w tym wielkie wydarzenie: zaznaczają oni, że lotnictwo amerykańskie udowodniło raz jeszcze swoją "giętkość" /*flexibility*/, że dzisiaj atakuje z baz brytyjskich, włoskich i rosyjskich. W ten sposób zamyka się wokoło Niemiec krąg zniszczenia lotniczego.

Jest to istotnie ważne wydarzenie w strategii sojuszniczej. Nie tylko dowodzi to, że U.S.A. pomaga czynnie Rosji, nie tylko potwierdza to braterstwo broni, które mocarstwa anglosaskie pojmują czynnie i z nakładem najlepszej woli, ale świadczy również, że strategia sojusznicza jest dzisiaj całością, że owa "*global strategy,*" o której się tyle mówiło, nabiera kształtu. Komentatorzy niemieccy coraz częściej mówią o "wielkim planie alianckim". Uważają oni, że pierwszą fazę stanowiło uderzenie sowieckie, drugą ataki lotnicze na Rzeszę i ewentualne zaplecze inwazji na zachodzie, trzecią — ofensywa we Włoszech. Czwartą fazą może być uderzenie sowieckie. W tej mierze komentator amerykański major George Fielding Eliot, pisząc na łamach *New York Herald-Tribune,* wyraża przekonanie, że Rosjanie ruszą niebawem, co nie znaczy jeszcze, ażeby ich uderzenie było równoczesne w czasie z atakiem na zachodzie.

Wydaje się, że istotnie strategia sojusznicza jest dzisiaj całością. Pracuje ona tak, ażeby narzucić siłom niemieckim największe znużenie i naprężenie do ostatnich granic. Faktem jest, *że przez montowanie ataku od zachodu, alianci uzyskali wielkie zwycięstwo taktyczne: Niemcy unieruchomili dziesiątki dywizyj na zachodzie, przerzucili wiele jednostek ze wschodu. Jest to sukces aliancki, który zbyt mało jest podkreślany. Sukces nie tylko taktyczny, albowiem wspomaga on, pośrednio, front wschodni, ale również i moralny, albowiem społeczeństwo niemieckie jest co raz to bardziej niespokojne z powodu odwlekania się inwazji.* Spodziewało się ono, że atak sojuszniczy przyjdzie w marcu czy kwietniu i że potem — "będziemy mieli już spokoj." Wierzono, że atak rozbity będzie łatwo, że wtedy można się będzie obrócić na wschód. Atak nie przyszedł jeszcze, pogotowie niemieckie trwa, przygotowania alianckie rosną, *wojna nerwów wchodzi dla Niemców w fazę bardzo przykrą. Są sparaliżowani w swoich ruchach, nie mogą przejść do akcji na wschodzie, nie wiedzą skąd spadną nowe ciosy.*

Strategia aliancka dąży do tego, ażeby przez nowe uderzenia wprowadzić nowy moment natężenia i nasilenia niemieckich rezerw, ażeby były one naprężone do ostatnich granic, ażeby rozproszenie niemieckich zasobów osiągnęło nowy stan maksymalny. Strategia aliancka jest dzisiaj "plastyczna", gra ona raz na jednym, raz na drugim odcinku, okrążanie i osaczenie Niemiec postępuje coraz wyraźniej. Obecność bombowców amerykańskich na Wschodzie jest nowym na to dowodem.

Akcja taka wydaje się celowa także z wielu innych powodów. Jest rzeczą słuszną, ażeby alianci zachodni zapoznali się najpełniej z aliantami wschodnimi, ażeby przerzucony został most pełnego porozumienia. Polityka odosobnienia Rosji dała wyniki złe, zgubne — dla obu stron. Miejmy nadzieję, że praktyczny i pragmatyczny sposób anglosaski: wciągania do współpracy, poznawania się bez uprzedzeń, badania rzeczywistości na miejscu — że to wszystko da wyniki. Ludność Rosji zobaczy Amerykanów, Amerykanie przekonają się o warunkach w Rosji — takie rzeczy mogą mieć dla przyszłości duże znaczenie. Rozładowanie uprzedzeń, rozbicie murów chińskich stawianych przez systemy pewnego chowu — jest jednym z podświadomych celów tej wojny. Życzymy powodzenia tej mądrej polityce. Będziemy radzi, jeżeli praktyczny świat amerykański rozwiąże trudności, których nie umiał może rozwiązać świat Europy. *Powiedzmy otwarcie, że Europa może tylko na tym zyskać, jeżeli Rosja da się najpełniej wciągnąć w międzynarodową współpracę. Niczego innego nie pragniemy.*

Londyn, dnia 5-ego czerwca 1944.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

24 maja: Wojska kanadyjskie przerwały Linię Hitlera i dotarły do rzeki Melfa. Niemcy ewakuowali Aquino. Sprzymierzeni zajęli Terracina.

—W nocy z 23/24 lotnictwo brytyjskie bombardowało Dortmund i Berlin.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało za dnia Berlin z baz angielskich i Wiener-Neustadt z baz włoskich.

25 maja: Patrole 5-ej Armii nawiązały koło Borgo Grappa łączność z oddziałami walczącymi z przyczółka Anzio. Wojska sojusznicze przecięły drogę główną nr. 6 koło m. Cisterna. Polacy odpierali przeciwnatarcia nieprzyjacielskie na Piedimonte. Sprzymierzeni zajęli Pontecorvo, Roccasecca i Sonnino.

—W nocy z 24/25 lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie Akwizgran.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało za dnia Belgię i Francję z baz w Anglii oraz Lyon i Tuluzę z baz Morza Śródziemnego.

—Generał Alexander w imieniu Króla angielskiego dekorował Orderem Łaźni generała Andersa.

26 maja: Wojska Sprzymierzonych zajęły Littoria, Cisterna, Cori, San Giovianai. Wojska polskie zajęły całkowicie Piedimonte.

—Lotnictwo Sprzymierzonych bombardowało Lyon, Niceę i Grenoble.

—Naczelny Wódz dokonał inspekcji polskiego zgrupowania myśliwskiego. Po inspekcji Naczelny Wódz dekorował Złotym Krzyżem Virtuti Militari mjr. pil. Skalskiego.

27 maja: Wojska polskie zajęły szczyt wzgórza Cairo. Wojska sojusznicze posuwają się naprzód. Zajęto Sezze i Arce.

—Lotnictwo Sprzymierzonych bombardowało koleje we Francji, Belgii i zachodnich Niemczech.

28 maja: Wojska niemieckie pod naporem Sprzymierzonych wycofują się w Apeniny oraz bronią się na wzgórzach Alban, Sprzymierzeni zajęli Artena, Ceprano, Belmonte, Villa Santo Stefano i Norma.

—W nocy z 27/28 lotnictwo brytyjskie dokonało ciężkich nalotów na składy wojskowe w Belgii oraz na koleje we Francji i Niemczech. W czasie tych działań zrzucono około 4.000 ton bomb.

—W nocy z 27/28 Polski Dywizjon Lekkiego Bombardowania wykonał zadania intruderskie.

—Za dnia Polskie Dywizjony Myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe, przeprowadzały wymiatanie i atakowały wyznaczone cele.

—Za dnia lotnictwo Sprzymierzonych atakowało fabryki koło Lipska i koleje we Francji i Belgii.

29 maja: W nocy z 28/29 lotnictwo brytyjskie bombardowało Angers i Ludwigshafen.

—Za dnia 1.000 bombowców amerykańskich, osłanianych przez 1.200 myśliwców, bombardowało fabryki lotnicze w Poznaniu i Krzesinach oraz fabryki w okolicach Szczecina, Roztoki i Lipska. Poza tym lotnictwo Sprzymierzonych bombardowało z baz włoskich fabryki w okolicach Wiednia.

—Zajęto Ceprano, Carroceto i Monte Orio we Włoszech. Sprzymierzeni toczą zacięte walki o Velletri i Valmontone.

—Polskie Dywizjony Myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe i atakowały wyznaczone cele.

30 maja: Rozpoczęła się bitwa o Rzym. Wojska Sprzymierzonych posuwają się naprzód wzdłuż drogi Anzio-Rzym i drogi głównej nr. 6, prowadzącej również do Rzymu. Sprzymierzeni zajęli Ceccano, Arce, Atina.

—Lotnictwo Sprzymierzonych atakowało silnie za dnia Calais, Boulogne i Dunkierkę oraz lotniska i fabryki lotniczę w Niemczech. Z baz włoskich atakowano okolice Wiednia i różne cele w Jugosławii.

—Polskie Dywizjony Myśliwskie bombardowały wyznaczone cele oraz przeprowadzały osłonę wypraw bombowych.

31 maja: Wojska Sprzymierzonych dotarły do Frosinone. Zacięte walki toczą się w rej. Velletri-Valmontone.

—Lotnictwo Sojusznicze atakowało koleje w Niemczech i lotniska we Francji.

—Za dnia polskie Dywizjony Myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe oraz przeprowadzały wymiatanie i atakowały wyznaczone cele. Wszystkie samoloty powróciły.

—W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie odparły zacięte ataki niemieckie na północ od Jass.

1 czerwca: Sprzymierzeni zajęli we Włoszech Sora, Carpineto i Monte Artemiso.

—W nocy z 31.V./I.VI. lotnictwo brytyjskie bombardowało ośrodki kolejowe we Francji.

2 czerwca: Sprzymierzeni zajęli Velletri, Valmontone, Ferentino, Alatri i Veroli.

—Bombowce amerykańskie bombardowały z baz włoskich obiekty wojskowe w Rumunii, po czym wylądowały w bazach sowieckich. Była to pierwsza tego rodzaju operacja.

—Lotnictwo Sprzymierzonych silnie atakowało koleje i inne cele wojskowe we Francji i Niemczech.

—Za dnia Polskie Dywizjony Myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe oraz przeprowadzały wymiatanie i atakowały wyznaczone cele.

3 czerwca: Wojska Sojusznicze zajęły we Włoszech Rocca di Papa, Labico, Lanuvio. Żołnierze Piątej i Ósmej Armii połączyli się na drodze nr. 6, niedaleko Valmontone.

—Lotnictwo Sojusznicze bombardowało cele wojskowe we Francji, głównie w rej. Pas de Calais.

—Za dnia Polskie Dywizjony Myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe oraz przeprowadzały wymiatanie i atakowały wyznaczone cele.

4 czerwca: Piąta Armia wkroczyła do Rzymu, który został uprzednio ewakuowany przez Niemców.

—Lotnictwo Sprzymierzonych bombardowało cele wojskowe w okolicach Boulogne.

NIECO ELEMENTARNEJ STRATEGII

Coraz wyraźniej zarysowuje się dziś znaczenie marynarki wojennej w całokształcie zadań strategicznych, taktycznych i operacyjnych. A zarazem potwierdza się raz jeszcze pewnik, wyrażony już w XVII wieku przez kardynała Richelieu: "Bez marynarki wojennej nie można ani prowadzić wojny, ani korzystać z dobrodziejstw pokoju".

W zaraniu wojny obecnej Hitler i jego sztab sądzili, że stosunkową słabość własnej marynarki skompensują lotnictwem. Zawiedli się srodze, nie zdołali bowiem zniszczyć z powietrza ani floty brytyjskiej, ani nawet jej przybrzeżnych podstaw operacyjnych, położonych niekiedy o kilka lub kilkanaście minut lotu od Francji okupowanej.

Do roku 1928 Niemcy jako-tako przestrzegali klauzul Traktatu Wersalskiego, ograniczającego ich marynarkę do 8 pancerników, 8 krążowników i 24 kontrtorpedowców i torpedowców. Pierwsze dwa typy, były to okręty przestarzałe z 1900 — 1905 roku, tym nie mniej dwa z nich — zmodernizowane — wzięły udział w bombardowaniu Westerplatte, Oksywia i Helu, co wobec słabości polskiej marynarki nie nastręczało większych trudności. Okręty torpedowe pochodziły z okresu 1908 — 1917. Okręty podwodne i wodnosamoloty były zabronione. Większość fortyfikacji nadbrzeżnych rzekomo uległa zniszczeniu lub rozbrojeniu. Personel nie miał przekraczać 15.000 ludzi, powołanych ochotniczo i długoterminowo. Kaliber dla pancerników ograniczono do 280 m/m, dla krążowników do 150 m/m.

Tedy do roku 1928 sytuacja na Bałtyku była zrównoważona. Polska miała wszelkie szanse stworzenia marynarki, co najmniej równej co do siły, a nawet bardziej nowoczesnej. I to tym więcej, że flota niemiecka miała do obrony dwa morza — Północne i Bałtyckie — a Polska tylko jedno. Nawiasem mówiąc, w tym okresie flota sowiecka również była w stadium upadku i dopiero powoli odbudowywała się po klęskach 1917 — 20 roku.

Wojna na morzu

Ale w 1927 roku, zamiast projektowanego realnego programu morskiego budowy 150.000 ton, wskazanych i przyznanych nam w Genewie, zamówiono jedynie 2 kontrtorpedowce i 3 okręty podwodne, po czym nastąpiła prawie dziesięcioletnia przerwa.

Przerwę tę Niemcy wykorzystali znakomicie, rozbudowując swą flotę — już z wyraźnym pogwałceniem Traktatu Wersalskiego. I jakkolwiek nie zdołali zbudować takiej, któraby zagroziła Anglii, to jednak wystarczyła im ona by opanować Bałtyk — klucz strategiczny Europy środkowowschodniej — uczynić zeń jezioro niemieckie i nie dopuścić do jakiejkolwiek bezpośredniej pomocy brytyjskiej dla Polski, a w r. 1941 i dla Rosji.

Dzięki opanowaniu Bałtyku Niemcy mogli zająć Polskę, Danię, Norwegię, Finlandię i małe państwa bałtyckie. Dzięki temu trzymają się dziś jeszcze w Finlandii, Estonii i na Łotwie. Dzięki temu ćwiczą, próbują i remontują tam swoje okręty — stosunkowo daleko od baz lotnictwa Sprzymierzonych . . . Ale też i na tym koniec.

Po stronie przeciwnej Marynarka Brytyjska nie tylko nie dopuściła do inwazji Anglii /Hitler nie ośmielił się na nią, nie posiadając panowania na morzu/, nie tylko dała możność przetrwania do chwili, gdy lotnictwo Sprzymierzonych /dzięki niej rozwijające się i zaopatrzone obficie w sprzęt i paliwo/ mogło przejść do skutecznych działań, nie tylko unicestwiła blokadę niemiecką i zaopatrzyła swój kraj we wszystkie potrzebne mu produkty, nie tylko utrzymała się, mimo przewagi nieprzyjaciela, w basenie śródziemnomorskim, ale — przechodząc do działań zaczepnych — pozwoliła wojsku na zwycięskie działania w Afryce i Europie, będące kamieniem węgielnym zwycięstwa.

Podkreślić należy, że operacje desantowe na Sycylii, w Kalabrii, pod Salerno i pod Anzio odbywały się na morzach ciasnych na odległościach od 2-ch /w Cieśninie Messyńskiej/ do 250 kilometrów, czyli w warunkach bardzo zbliżonych do bałtyckich.

Rzecz jasna, że jeśli bez marynarki nie dało by się zdobyć Północnej Afryki i Sycylii, to pod Salerno i Anzio tym bardziej lądowanie skończyłoby się klęską, gdyby nie pomoc — już nie strategiczna czy taktyczna, ale wprost operacyjna — marynarki. Szczególnie czteromiesięczną obronę przyczółka w Anzio, przypisać należy w dużym stopniu bezpośredniej interwencji marynarki.

We wszystkich tych operacjach bandera polska brała skromny, ale owocny udział. I obok sławy zyskała sobie doświadczenie, które bezwzględnie przyda się na polskich wodach.

ZŁY PROROK

Hitler i jego pomocnicy nie mają szczęścia do proroctw. W maju roku bieżącego okręty podwodne Führera zatopiły rekordowo . . . małą liczbę statków Sprzymierzonych. Mniej niż w jakimkolwiek innym miesiącu wojny podwodnej /do 26 maja tylko pięć/. Wzamian ilość zatopionych okrętów podwodnych proporcjonalnie wzrosła.

Jakże wyglądają oświadczenia Hitlera — że wszystko, co znajdzie się w obrębie zasięgu niemieckich wyrzutni torpedowych, zostanie zniszczone — i że nowe wyposażenie taktyczne pozwoli okrętom podwodnym uporać się z każdym przeciwnikiem! Jakże wyglądają oświadczenia Doenitza, że okręt podwodny nie lęka się samolotu więcej niż kret wrony . . . Zwłaszcza dziś, gdy poluje się na okręty podwodne różnymi sposobami morskimi i powietrznymi — do rakiet włącznie . . .

Od stycznia do połowy maja roku bieżącego radio brytyjskie ogłosiło o jeńcach niemieckich, wziętych z 18-tu zniszczonych okrętów podwodnych. Pamiętać należy, że dane te są zawsze podawane z pewnym opóźnieniem, tedy jeńców oraz zniszczonych korsarzy musi być do dziś znacznie więcej. Poza tym rzadko kiedy okręt podwodny bywa zniszczony tak, iż istnieje możliwość wzięcia jeńców. Można bez przesady przyjąć, że w istocie ilość zatopionych okrętów podwodnych jest kilkakrotnie większa. Ginie ich w każdym razie więcej niż sprzymierzonych statków handlowych.

Przeciwdziałanie wojnie podwodnej do maja 1943 roku polegało na "oddalaniu" i "neutralizowaniu" niebezpieczeństwa. Obecnie siły Sprzymierzonych przeszły wprost do działań zaczepnych. Na korsarzy Hitlera poluje się z morza i z powietrza. Od początku wojny zniszczono ich w każdym razie ponad 300. Istnieją poważne przyczyny do przypuszczenia, że produkcja okrętów podwodnych w Rzeszy osłabła i że coraz trudniej o załogi. Wśród jeńców są prawie wyłącznie marynarze, podoficerowie i oficerowie po 18-20 lat.

ASTRONOMICZNE CYFRY

Od chwili przystąpienia do wojny, Stany Zjednoczone zbudowały 4 miliony ton okrętów wojennych /pomyśleć, że Polsce wystarczyło by mieć mniej niż pół procent tego tonażu, by utrzymać Bałtyk i połączenie z Aliantami!/, a nadto 31.000.000 ton statków handlowych. To też dziś floty Sprzymierzonych są znacznie silniejsze, niż na początku wojny. I to mimo bardzo dotkliwych strat w pierwszych latach wojny.

Flota U.S.A. rozporządza dziś 65 lotniskowcami, wobec 3-ch w końcu roku 1942 /cztery zostały zatopione/. Nic dziwnego, że startujące z nich samoloty coraz szerzej opanowują Pacyfik, zapuszczając się nieraz na odległość kilkuset mil od metropolii japońskiej. I tu będziemy niezadługo świadkami poważnych wydarzeń.

Na razie potężne siły morskie Wuja Sama pospołu z brytyjskimi, zaciskają swe kleszcze wokół Indonezji i Australazji. Po bombardowaniu zachodniego cypla Sumatry, przyszła kolej na bazę japońską Surabaja na Jawie. Jeszcze mamy świeżo w pamięci rok 1942 i klęskę sprzymierzonej eskadry anglo-amerykano-holenderskiej na tych wodach. Obecnie sytuacja zmienia się, jak obraz w kalejdoskopie.

JULIAN GINSBERT

Epos bitwy o Cassino

W natarciu na Górę Klasztorną



Prowizoryczny cmentarz poległych w walce o Cassino



Północna strona klasztoru



Flaga polska na szczycie Monte Cassino 18-go maja, godz. 10.30



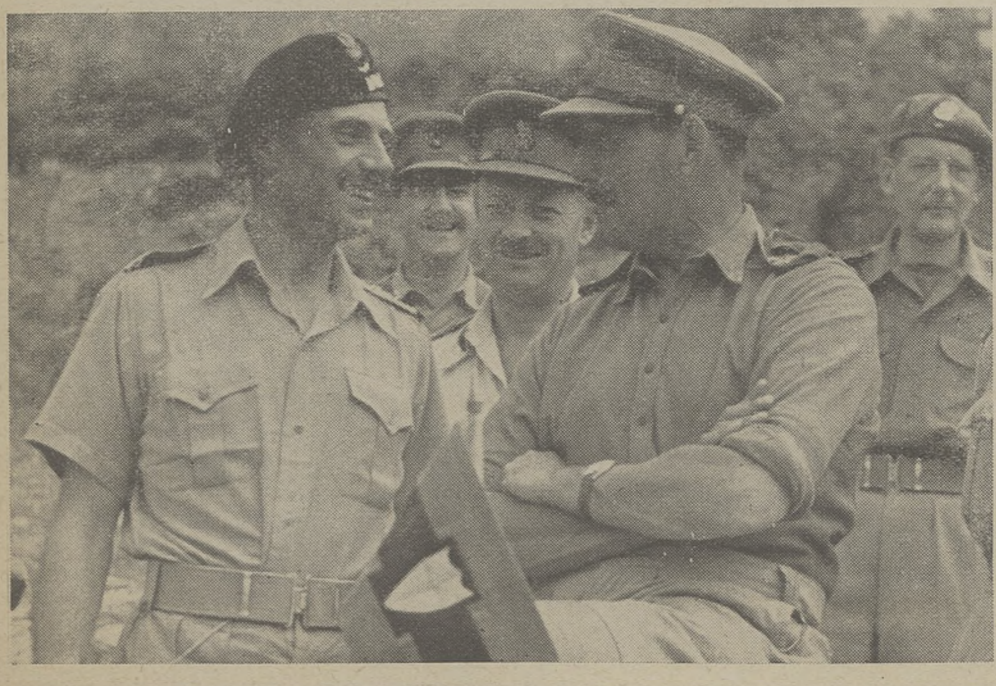
Dziedziniec klasztorny



Podziemia klasztoru-twierdzy



Dwaj dowódcy: II Korpusu Polskiego i VIII-ej Armii



Żołnierze polscy po zajęciu klasztoru



Zdjęcia: Zbigniewa Jaszcza, Feliksa Maliniaka, Wacława Ostrowskiego

IDZIEMY DO ZDOBYTEGO KLASZTORU

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Dywizje Drugiego Korpusu Polskiego zdobyły po tygodniu bezprzykładnie krwawych walk twierdzę niemiecką — klasztor Benedyktynów na górze Cassino.

Stało się to osiemnastego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, około piątej godziny z rana. Jak zwycięstwo to wygląda w świetle ocen fachowców wojennych — nie wiem. Napiszę o tym, co sam widziałem, idąc w grupie kilkudziesięciu korespondentów wojennych, którzy reprezentowali pisma prasy alianckiej. Prócz nich byli dwaj /jedyni w tym dniu zresztą/ polscy operatorzy filmowi: Zbigniew Jaszcz i inż. Stanisław Lipiński, którzy wespół z fotografem Feliksem Maliniakiem zanotowali na błonach filmowych obrazy, które ja spróbuję opisać przy pomocy mniej czy więcej wiernych skrótów.

U PODNÓŻA I NA STOKU GÓRY

Auta korespondentów wyjeżdżają około południa z miejsca postoju Dywizji Karpackiej. Na czele jedzie wyższy oficer polski i oficer łącznikowy armii amerykańskiej przy Korpusie Polskim. W tym wypadku odstępuję od moich skromnych zasad niepisania o osobistościach. Dwaj wspomniani oficerowie zachowali się w czasie wędrówki na górę tak świetnie, że nie mogę sobie odmówić przyjemności by tego nie zaznaczyć. Oni obaj, którzy wyjechali pierwsi na wygodnych autach, tak samo pierwsi szli tam, gdzie jak się później okazało, nie zawsze iść było łatwo i bezpiecznie.

Łaziki kończą podróż u podnóża wysokiej góry. Stąd trzeba już iść pieszo. Idziemy więc. Na pierwszych setkach metrów spotykamy konwoje: polscy żołnierze prowadzą niemieckich jeńców, wziętych w zdobytym klasztorze. Przystajemy, aby uważnie się przyjrzeć ludziom, którzy tak długo zmuszali nas, a przed nami — iluż innych, do jakże strasznego i obfitego krwawienia się.

Patrzę na ludzi, którzy jak to widać z przypiętych do wielu piersi znaczków — wyskakiwali z samolotów na Kretę. Młode twarze, harde spojrzenia, duże opanowanie. Są jak i nasi bardzo zmęczeni, ledwo nieraz powłóczą nogami, z sińcami pod oczami, bardzo dawno niegoleni, brudni wojennym brudem: kiedy nie ma całymi tygodniami gdzie ani czym się umyć. Nie ma na te cele wody. Wojna toczy się tutaj w górach. Całe zaopatrzenie przynosi się na własnych plecach, albo na grzbietach mułów, jeśli są.

Stoimy w milczeniu. Milczymy — oni i my. Patrzymy tylko na siebie nienawistnymi spojrzeniami. Wiemy o sobie wszystko. Znamy się przecież nie od dziś. Od września trzydziestego dziewiątego roku wiele na wielu frontach świata popłynęło krwi, którą my przelelismy walcząc z nimi. Teraz oni idą do jenieckich obozów.

Ostatnią grupkę Niemców prowadzi mój dobry znajomy podchorąży S. Dawno go nie widziałem. Teraz, zobaczywszy go, przeraziłem się: Sławek jest czarny, zupełnie mokry od potu, ma na spuchniętych od dźwigania karabinu rękach pełno maleńkich ranek. Jest, jak widzę, śmiertelnie zmęczony. W pierwszej chwili nie poznaje mnie, patrzy czerwonymi od zaciekającego potu oczami nierozumiejąco.

Jeszcze raz wołam: — "Sławek! . . ." Wykwitł ledwo dostrzegalny uśmiech. Ale nie może się zatrzymać. Konwojuje jeńców. Postanawiam dowiedzieć się gdzie stoi jego oddział i dotrzeć tam.

Idziemy co raz bardziej pod górę. Polaków na razie nie widać. Widać natomiast porozbijane czołgi z dawnych ofensyw i masy porzuconej broni i amunicji. Co chwila ktoś kopie leżący bez opieki a w pełnej gotowości bojowej granat.

Na pierwszej przełęczy ukazują się ludzie. Włoscy żołnierze. Niosą na plecach pod górę bańki z wodą i amunicją. Amerykańscy dziennikarze komentują ten widok przy pomocy bardzo dosadnych wyzwisk pod adresem wszystkich sprzymierzonych dowództw, które ich zdaniem, mogłymy tę zwierzęcą pracę przelać na zwierzęta. Zresztą, jeśli chodzi o nasze wspinanie się po stromych i obłych kamieniach, to nasi anglosascy towarzysze marszu też nie entuzjazmują się zbytnio. Co raz to któryś siada na jadącego pod górę łazika. Co samochód to nie człowiek . . .

W powietrzu cisza jak makiem zasiał. Myślę nad toczonymi dokoła rozmówkami: — Cóż . . . Cassino oddali, teraz nie mają poco strzelać . . . i nasi nie mają poco na razie . . .

Na kamiennej ścieżce olbrzymie ilości odłamków. Ktoś tu kiedyś, może niedawno jeszcze tymi odłamkami obrywał.

SPOTKANIE Z KARPATCZYKAMI

Na drugiej przełęczy zaczynają się polskie oddziały.

Wszędzie widać *pillboxy* i schrony, wykute w skale. Z daleka, na sto metrów, trudno takie schrony dostrzec. Z bliska widać ich coraz więcej. Dookoła mrowią się ludzie. Poznaję ich po twarzach — to żołnierze Dywizji Karpackiej. Ale najbardziej znajome twarze — jakże są niepodobne do tych, które znałem: pozapadane policzki, zielonkawa cera, podbite, płonące oczy . . . Przepocone kołnierze ubrań i wyrudziałe, poobijane, dawno nieczyszczone buty: wojnę widać tu już choćby w tym. Żołnierze patrzą na wąż korespondentów bez zainteresowania. Któryś z żołnierzy tylko się odezwie: — "Ten to Amerykanin, widzisz, ten chudy... A ten facet, to Polak, ten był kiedyś w naszej Dywizji . . ."

W nozdrza po raz pierwszy uderzają zapachy gnijących ciał zwierząt i ludzi. Na razie widzimy tylko trupy zwierząt. Z wnętrzności zabitych koni i mułów wysypują się na odgłos ludzkich kroków — roje much. Cóż to za ohyda! ...

Tak więc — wzięliśmy Cassino. Ciągle jeszcze trudno mi w to uwierzyć. Wczoraj patrzyłem na tajemniczy klasztor, jak na coś, co wisi w przestworzach, do których nie można się dostać. Dziś do tego klasztoru pniemy się pod górę. W pobliżu dowództwa jednej z brygad Dywizji Karpackiej czuję w piersiach huk zmęczonego serca. Pot cieknie strumieniami po całym ciele. A oni szli tędy do ataku, obładowani bronią, sprzętem i amunicją, pod morderczym ogniem . . .

Tego dnia w godzinach rannych znalazłem się przypadkiem w miejscu, gdzie zobaczyłem następującą scenę: Obok zakurzonego samochodu stali dwaj generałowie, bez żadnej asysty. Jeden polski, drugi angielski. Anglik łamaną francuszczyzną dziękował Polakowi za . . . zwycięstwo. Polakiem był dowódca Drugiego Polskiego Korpusu, gen. Władysław Anders.

Tam dowiedziałem się, że Polacy zdobyli Cassino. Ale w życiu bywa nieraz bardzo absurdalnie. Dziś, kiedy to piszę, po powrocie z kassyńskiego klasztoru, leżą przed moją maszyną gazety wojskowe Aliantów. Piszą one również o zwycięstwie, pod Cassino. Ale tutaj już Polakom nikt nie dziękuje. Niektóre gazety jakby w ogóle nas pod Cassino nie dostrzegły. Niewiele mam wspólnego z polityką. Jeszcze mniej z dyplomacją. Nie rozumiem dlaczego sprzymierzeńcze gazety nas nie dojrzały. W życiu bywa dziwnie . . . A myślałem, że tym razem wszystko jest bardzo jasne. Dowódca VIII-mej Armii dziękował przecież opodal zakurzonego samochodu . . . Dziękował dowódcy Polskiego Korpusu. Nie zajmuję żadnego stanowiska. Jestem po prostu jak wszyscy, którzy to dostrzegli — bardzo, bardzo przygnębiony.

SZLAK WYTYCZONY BIAŁĄ TAŚMĄ

Droga pnie się niemiłosiernie. Jesteśmy wreszcie w dowództwie. Pułkownik gdzieś dzwoni, żeby nam pomogli. Widzę ironiczne uśmiechy. Bubki przyjechały. Za rączkę ich trzeba będzie prowadzić.

Trafiliśmy na porę obiadu. Żołnierze cieszą się, jak mówią, z "królewskiego obiadu". Sześć dni w czasie ataku na klasztor nie było normalnego zaopatrzenia. Dziś jest już dużo dobrych rzeczy. Herbata nie pachnie benzyną, baranina jest jak za dawnych dobrych palestyńsko-egipskich czasów, jest zdaje się nawet kompot i kapuśniak. Podaję to dosyć chaotycznie, jak na wymogi stawiane przy opisywaniu menu, ale ci, którzy obiad ten jedli — wybaczą mi. Słyszałem jak mówili, że jest "królewski".

Z dowództwa ruszamy na następną wcale nie niższą od poprzedniej górkę. Tam będzie już klasztor. Nie na tej górce. Na następnej. Ale z drugiej do trzeciej, mówi jakiś sportowiec, to już parę kroków. No, zobaczmy ile to tych kroków będzie.

Przede mną idzie Amerykanin. Coś tam mruczy pod nosem. Co raz to coś zapisuje. Dużo będzie dolarów za "sensacyjny" reportaż. Dużo różnych historii Polacy nawyprawiali tutaj. Jest o czym pisać.

Na drodze naszej, znaczonej płócienną taśmą, co raz więcej amunicji, karabinów, płaszczy, koców, wszystkiego co zjednoczone narody wyprodukowały na użytek swoich żołnierzy. Są również gdzieniegdzie niealianckie rzeczy. Oto leży ulotka. Z jednej strony rysunek. Gruby człowiek o semickim wyglądzie, rozparty w fotelu popija wino i trzyma na rękach bardzo rozebraną i bardzo przystojną dziewoję. Czyta przy tym gazetę. Na nagłówku gazety narysowana jest czerwonymi kreskami gwiazda Syjonu. Po drugiej stronie polski tekst.

Niemcy piszą, żebyśmy przechodzili na ich stronę, bo bardzo im do nas tęskno. Piszą, że stęsknione nasze rodziny czekają na nas oddawna, tak jak i na nich, i że wojna toczy się z naszego powodu, bo my nacieramy a oni, rzecz jasna, muszą się bronić. A przecież, nie warto bić się o . . . nic. Nasze interesy ideowo-państwowe są te same. Więc poco się bijemy . . .

Żołnierze używają ulotek tego rodzaju do pewnych koniecznych czynności. Miękki papier jest ceniony nawet na wojnie. Niestety nie ma tego pod dostatkiem. Niemcy nie kochają nas na tyle, żeby zrzucać ze swoich ostatnich samolotów dostateczną ilość miękkiego papieru.

Idziemy dalej. Przed moimi oczami roztacza się widok na wiele gór i dolin — mówiąc językiem lirycznym. Ale o lirykę jakąkolwiek, bardzo tutaj trudno. Na pierwszym planie widać słynne zbocze "Widmo", o które tyle ludzkiej krwi popłynęło. Ostatnio — tyle krwi naszej.

Cisza wielka, niczym niezakłócona, jest mimo wszystko niepewna. Żołnierze cisi i bardzo zmęczeni, nie mają do niej zaufania. Przekradają się od przełęczy do przełęczy możliwie najszybszym krokiem. Pamiętają dzień wczorajszy. Cały ubiegły tydzień. W nozdrzach mają dotąd zapach prochu, w oczach — oczy zabitych i rannych kolegów. "Widmo" jest widmem. Nawet w czasie ciszy.

OBRAZY LUDZI I ZDARZEŃ

Idę ostatecznie zmęczony. Do ciężaru zmęczonego ciała, przybywają myśli nie mniej ciężkie. Obrazy, widziane w czasie tych ostatnich dni, bolą i krzyczą i ani na chwilę nie pozwalają o sobie zapomnieć. Szpitale, sanitarki ocierające się bez świateł na górzystych drogach, jęki rannych, wiadomości o zabitych i rannych przyjaciołach, do których nie można dotrzeć . . . Sam byłem kilka razy pod ogniem i w huku nocnych nalotów. Kiedy w tej chwili pnę się na szczególnie ciężki odcinek drogi, przypominam sobie oczy wielu żołnierzy, którzy jechali na pierwsze wysunięte pozycje. Którzy właśnie to Cassino, do którego teraz idziemy — zdobyli. Oczy te były zamyślone i bardzo dalekie w spojrzeniach od wszystkiego, co je otaczało. Nie wiem dlaczego, ale wielu ludzi patrzyło niewinnymi i dziwnie szlachetnymi spojrzeniami dzieci, idących do pierwszej komunii.

Przedwczoraj spotkałem znajomą panią. Pytała czy byłem "na pierwszej linii". Tak, byłem. "No i co" — powiedziała pani. — "Nasi chłopcy biją się wspaniale" . . . Puste słowa. Bardzo papierowe w zestawieniu z żywą ludzką krwią i ważnością trudnego zwycięstwa.

Już w czasie wędrówki do klasztoru dowiedziałem się, że w Cassino siedzi grupka polskich saperów. Szperają, szukając min. Bardzo się nimi zainteresowali znani korespondenci. Bo saperzy to dobre wojsko. Pracują dla ogółu. Żebyśmy nie powylatywali na minach. Te miny, wielu moim towarzyszom bardzo zatruwają i tak ciężką podróż. Niech to cholera ściśnie. Człowiek idzie, żeby napisać wielkie *"story"*, a taka mina może przeszkodzić nie tylko powstaniu *"story"* ale i w ogóle . . .

Polaków w górach co raz więcej! Tutaj stoją dwie karpackie brygady. Żołnierze w *battle-dresach* nawet na bliską odległość prawie są niewidoczni. Czasem zdaleka błyśnie tylko lufa karabinu czy hełm odarty z farby.

Wojsko siedzi pod kamieniami, w różnych dziurach. Wojsko to siedzi tutaj od dawna, w przeliczeniu — na wytrzymałość ludzką i ludzkie nerwy — od bardzo dawna. Wszystkie prawie bez wyjątku twarze mówią wyraźnie o olbrzymim wysiłku dokonanym przez nich w czasie ostatnich dni. Cassino zdobywano piędź po piędzi. Trzeba się było kryć przed milionami pocisków, trzeba było tyleż pocisków wystrzelić, a przy tym iść naprzód.

Spróbuję dać jeszcze kilka prawdziwych słów z ostatniego odcinka drogi do koszmarnego klasztoru. Na drodze naszej, na jej ostatnich setkach metrów, nie było czym oddychać, tak strasznie śmierdziało zabitymi i niepochowanymi ludźmi, którzy padli w walkach przy posuwaniu się pod Cassino. Widziałem ludzi porozrywanych na strzępy. Widziałem zczepione ciała Polaków i Niemców, którzy bili się wręcz, widziałem trupy, które nie miały wnętrzności, bo wszystko zdążyły już zeżreć muchy, których w tym piekle jest chyba wiele miliardów. Amerykanie i Anglicy, którzy szli z nami, byli po prostu przerażeni. Nie wyobrażali sobie, że tak strasznie ta walka tutaj wyglądała.

W OBLICZU RUIN

Klasztor ukazuje się nagle, na przełęczy. Stoi jedna, północna, ściana. Gruzy z budynku osypały się na zbocza i nadały górze, na której stały całe, niegdyś piękne i potężne mury — biały, wapienny kolor. Gdy zatrzymaliśmy na resztkach murów pierwsze spojrzenia, wszystkimi nami chyba bez wyjątku — wstrząsnął dreszcz. To tutaj.

Kiedyś do klasztoru na ostatnim odcinku drogi wiodła piękna, zdaje się grabowa aleja. Dziś zostały z tej alei żałosne, porąbane bombami i artylerią luźne kawałki drzewa. Wszystko dokoła klasztoru jest rozbite w koszmarne gruzy. Im bliżej ostatniego wzgórza, na którym stoi klasztor, tym więcej wszystkiego, co zostaje zwykle po zabitych, rannych, uciekających.

Niemcy bronili się tutaj siedem miesięcy. Prócz pozycji w klasztorze, mieli oni dokoła wiele schronów. Karpatczycy opowiadają nam że w schronach dotychczas leży masa rannych i zabitych.

Idę ze swoim wypróbowanym w łagrach sercem zmęczony jak przepracowane zwierzę. Płuca świszczą. Pot zalewa oczy. Nagle ktoś woła mię po imieniu. Patrzę: Olek. Stary przyjaciel. Zgubiłem jego ślad. Ja i . . . narzeczona jego.. Stoi na zboczu z dystynkcjami plutonowego, zarośnięty jak nieszczęście, uśmiecha się wspaniałymi zębami. Pytam jak żyje.

— "Aa . . . zwyczajnie jak w tym b . . . można żyć . . ."

Prosi, żebym zabrał list do matej. Powiedziałem, żeby napisał, jak będę wracał z klasztoru, zabiorę. Przebacz mi kochany, że nie zabrałem tego listu, ale wracając nie spotkałem cię już, a wiem, że nie możesz się w tej chwili sam do niej wyrwać i że bardzo ci z tym ciężko, ale ja naprawdę chciałem ci pomóc. Nie spotkaliśmy się . . .

Korespondenci zostają co raz bardziej w tyle. Odłączam się od nich i spotykam tuż przed klasztorem jakiś patrol, który idzie obsadzić, jako załoga nocna, klasztorne ruiny. Po chwili dostrzegam, że w środku "gęsiego", idzie spokojnym krokiem po białej taśmie chroniącego przed minami płótna, ni mniej ni więcej tylko . . . Melchior Wańkowicz. Nie wierzyłem oczom. Wiedziałem, że Wańkowicz jest wścibski, ale nigdy nie przypuszczałem, że ten stary człowiek zdobędzie się na taki duży wyczyn i przejdzie pieszo tyle drogi w beznadziejnych górach. Wańkowicz był przed nami. Teraz szedł sobie z patrolem nie trzymając się żadnych korespondentów. Razem weszliśmy na poziom fundamentów Cassino.

JESTEŚMY W KLASZTORZE

Wchodzę z najwyższym trudem na ostatnie wzniesienie. Żar leje się z nieba i co raz trudniej nabrać do płuc powietrza. Jesteśmy w klasztorze. Pierwsze spojrzenie z góry daje wyobrażenie, jak wysoko się znajdujemy.

Dokoła roztacza się widok wielu pobojowisk. Pozycje niemieckie leżą stąd bardzo blisko. W powietrzu czuć zgniliznę. Z oddali przybliża się do klasztornego wzgórza pochód korespondentów.

Weszliśmy razem z patrolem, mniej więcej dwudziestu ludzi, którzy mają tu zostać przez całą noc. W duchu przyznaję się, że wcale im tego nie zazdroszczę. Żołnierze są tak jak i my nieliniowcy — bardzo zmęczeni. Różnica jest tylko w pracy, która to zmęczenie spowodowała. My spaliśmy bezpiecznie, zdala od różnych "Widm" i innych ciężkich choler. Oni tej tragicznej nocy walczyli. Nie spali po ludzku oddawna.

Jeszcze na kilkaset metrów przed klasztorem wydawało się, że wystarczy wdrapać się do poziomu fundamentów, aby móc chodzić po równej chociaż poharatanej ziemi. Gdy weszliśmy, okazało się, że równa ziemia jest potwornie pagórkowata. Mury rozbitego klasztoru ułożyły się w kupy i trudne do przebycia zwaliska. Obejść klasztor dokoła nie jest wcale łatwo. Główna ściana: północna, stoi mniej więcej cało. Wszystkie pozostałe, przedstawiają pasmo najeżonych kamieniami i rusztowaniami nierówności. Poruszanie się na zewnątrz murów, pociąga za sobą obsuwanie się kamieni w dół. Jednym takim kamieniem mocno dostał idący dołem korespondent. Trzeba zatem chodzić bardzo ostrożnie.

Przygnębiająco działa świadomość, że klasztor jest podminowany. Są wprawdzie na trasie wyznaczonej przez saperów do przechodzenia — białe płócienne taśmy, ale sami saperzy mówią, że "gwarancji nie ma żadnej". Wszystko jest w ręku Boga i przypadku.

Po odsapnięciu, zaczynam się zastanawiać od czego zacząć, żeby możliwie najwięcej zobaczyć. Wańkowicz już gdzieś znikł. Nie pytam żołnierzy, z którymi szedł, gdzie się podział, bo po prostu nie wypada. Jeśli poszedł, on stary i gruby, to ja, młody i o wiele cieńszy, powinienem iść także. Własnym przemysłem.

Jeszcze raz rozglądam się dokoła po świecie, który widzi się z tej góry. Polskie bataliony i brygady są już dość daleko od tego miejsca. Do klasztoru od ostatniej przełęczy, z której pierwszy raz dojrzeliśmy mury, prowadzi droga — dawna aleja. Stąd, z góry, droga wydaje się bezpieczna i równa. Posiekane, leżące na niej drzewa są niewidoczne.

Wtem pada pierwszy strzał. Suchy, można powiedzieć jak trzaśnięcie wyszczerzonych zębów. Wystrzelił niemiecki moździerz. Blado uśmiechamy się, chociaż wyobraźnia natychmiast podsuwa obrazy wielkiego ognia, który może lada chwila objąć w zasadzie zdobyty klasztor. Strzał padł i cisza zapanowała znowu. Nie będą chyba walić. To był jakiś przypadek.

ROZMOWA Z WILEŃCZUKIEM

Schodzę obok północnej ściany na stronę wschodnią, włażę na górę gruzów, siadam obok kilku żołnierzy. Jeden z nich trzyma w ręku złoty kielich mszalny. Pytam skąd to wziął. Chłopiec śpiewnym wileńskim akcentem pokazuje ręką: — "Ile chcesz leży tam na niżu . . . Trzeba tylko wziąć i pójść . . ." Patrzę za ruchem ręki. Rzeczywiście o kilka metrów leżą kawałki fioletowych ornatów, jakieś kapy kościelne, kilka kielichów, książki, stare okładki typowe dla archaicznych klasztornych bibliotek, zaścielają całe metry kwadratowe. Ten pierwszy obraz nastraja smutno. Tyle wspaniałych zapewne dzieł sztuki, tyle świadectw kultury — leży tutaj w ostatecznym pohańbieniu i zniszczeniu. Obok mojej ręki, na której oparłem się na chwilę, leży łaciński modlitewnik. Otwarty jest na stronie, zaczynającej się od słów: *"Qui est in coelis sanctificetur . . ."*

Żołnierz Wileńczuk, przynosi mi mały, złoty kielich:

—"Niech pan weźmie. Będzie może pamiątka. Do Polski pan przywiezie".

Mówię, że jestem z Wilna. Chłopiec bardzo się cieszy:

—"Nu, co, oddasz pan w Ostrej Bramie jak przyjedziemi do Wilni . . ."

Chowam kielich do kieszeni. Saper zostaje wpatrzony w błękitne niebo, ścielące się z południowej strony klasztoru, ja idę dalej. Chcę możliwie najdalej odejść od murów, żeby uzyskać perspektywę. Nie bardzo tu można gdzie odejść, ale dwadzieścia metrów od głównej ściany ze wschodniej strony znalazłem. Klasztor był olbrzymi i bardzo piękny.

W tej chwili na wszystko tutaj kładzie się złotem przedwieczorne słońce. Kurz prześwietlony słońcem wygląda jak złoty przepiękny welon. Ale nie trzeba pozwalać oczom, aby dosięgły spojrzeniem ziemi. Wtedy czar pryska natychmiast. Ruiny nie są już prześwietlone, a boleśnie powyginane rusztowania każą pamiętać o wszystkim co się w tych murach stało.

Obszedłem klasztor dokoła. Już są wszyscy dziennikarze. Polscy koledzy z najwyższym wysiłkiem tłumaczą opowiadania saperów: Jak klasztor się poddał. Kiedy to się stało. Jak Niemcy opuszczali swoją straszną warownię. Jeńcy. Bunkry. Godziny. Wszystko się plącze. W tej chwili bardzo jeszcze trudno najuczciwszym naocznym świadkom, czy nawet tym, którzy klasztor zdobywali, posegregować wrażenia i przeżycia. Zbyt są wszyscy przejęci chwilą. Zbyt wiele się stało w ostatnich czasach.

SZTANDAR NA WIETRZE

Gdy szliśmy do klasztoru zauważyłem starego sierżanta, dźwigającego długi drąg. Niósł flagę o polskich barwach narodowych, aby zawiesić ją na murach klasztoru. Potem, tuż przed klasztorem, dostrzegłem drugą flagę, którą w tym samym celu nieśli ludzie, idący na nocną służbę. W rozmowach z ludźmi dowiedziałem się, że na kilka dni przed zajęciem Cassino, wiele oddziałów miało flagi — każdy własną. Wszyscy mieli na wypadek zwycięstwa. Który oddział wejdzie pierwszy, ten pierwszy swoją flagę zawiesi. Teraz po zwycięstwie sprawa pierwszeństwa jest nieco drażliwa. Wiadomo mi ze źródeł oficjalnych /sam tego nie widziałem/, że pierwsi byli w klasztorze ułani podolscy. Teraz dowiaduję się, że pierwsi byli żołnierze pewnej czwartej kompanii. A flagę ma jeszcze sierżant z kwatery głównej Dywizji. Patrol, z którym przyszedłem natychmiast zabrał się do wbicia drzewca, aby można było zawiesić swój znak. Dostrzegł to sierżant zajęty odpoczynkiem. Spytał kto chce i jakim prawem zawieszać przed nim swoją flagę. Żołnierze roześmieli się:

—"A pan właściwie skąd?" — zapytali.

Dowiedziawszy się, że z kwatery głównej, chłopcy śmieli się jeszcze bardziej. Zawiesili oczywiście swoją flagę. Powiedzieli, że przy całym szacunku dla wszelkich kwater, flagi zawieszać muszą zawsze ci, którzy miejsce na zawieszenie zdobyli.

Jest godzina piąta popołudniu. Bardzo brudny i spocony starszy strzelec umocował wreszcie maszt. Inny, nie mniej brudny, zmęczony i z zadartym nosem tudzież bardzo spracowanym *tommy-gun'em* na plecach, przywiązał do masztu białoczerwoną flagę. Zdawało mi się cały czas, że zupełnie nie ma wiatru. Ale przekonałem się, że wiatr jest. Bardzo lekki. Taki do lekkiego poruszenia polskiego, świętego płótna. Stanęliśmy wszyscy na baczność. Bez żadnej komendy.

W tej chwili padł na zbocze klasztoru drugi niemiecki pocisk z moździerza. Starszy strzelec poprawił flagę: podniósł ją wyżej. Fotograf trzasnął aparatem. Amerykanie i Anglicy byli bardzo wruszeni. Swoim zwyczajem nic nie mówili. My milczeliśmy również. Wiatr włoski powiał polskim sztandarem. Zwycięstwo Polaków obwieściło się niemieckim punktom obserwacyjnym powiewającą flagą.

Dzień osiemnasty maja, czterdziestego czwartego roku, przechodzi oto w promieniach cichego, nic nie rozumiejącego słońca. Przechodzi, do najkrwawszych dni w krwawej historii zawsze wolnego narodu Polaków.

NA DZIEDZIŃCU KLASZTORNYM I W PODZIEMIACH

Schodzę na podwórzec klasztorny. Na środku była tu kiedyś piękna fontanna. Przed nią stała wspaniała rzeźba. Postać świętego prawdopodobnie. Z fontanny została niesamowita dziura wiodąca chyba do środka ziemi, bo nie widać dna. Święta rzeźba stoi bez głowy. Rozbita marmurowa głowa leży u moich stóp. Dokoła walają się odłamki i niewypały. Amerykanie podnoszą małe kawałeczki marmuru i długo im się przyglądają. Ja nie ruszam niczego.

Zastanawiam się, czy powinienem wziąć kielich, który mam w kieszeni. Schodzę do katakumb. Kielich trzymam w ręku. Pośliznąwszy się, na śliskich od krwi ludzkiej zdaje się schodach, upuszczam święty przedmiot. Potoczył się w dół do jakiejś niewidocznej szczeliny. Nie jestem zabobonny, ale biorę to za znak, że powinien tam zostać. Nie należy niczego stąd zabierać.

Kiedy byliśmy w dowództwie brygady, jakiś żołnierz, zdaje się podchorąży, jedząc kapuśniak, czytał niemieckie dokumenty. Znalazł je przy zabitym, czy jeńcu. Znalazł wśród papierów plan podziemi klasztornych. Przypomniałem sobie, stojąc w ciemnościach na krwawej kamiennej podłodze, że człowiek z kapuśniakiem mówił sam do siebie, że podziemia te są "cholernie" rozbudowane. Nie mam prócz zapałek niczego, żeby oświetlić sobie drogę. Poza tym co tu ukrywać — czuję się raczej nieswojo.

W oddali widzę już kogoś, kto poszedł przede mną; ale tamten idzie pociemku. Próbuję zapalić zapałkę. Gaśnie. Powietrze jest stęchłe. Pachnie wszystkimi zapachami wojny i człowieka. Pachnie kukurydzą, której ogryzionych owoców poniewiera się pełno na podwórzu i tutaj, pachnie starymi papierami, myszami, łajnem, zabitymi ludźmi, prochem, lekarstwami, kadzidłem i biblioteką.

Wreszcie pojawia się ktoś ze świecą. Anglik idzie pierwszy, ja za nim. Z oddali słyszymy głosy. Ktoś tam z kimś rozmawia. Pod ścianami korytarza leży pełno niemieckiego ekwipunku. Całe kancelarie i zbrojownie. W olbrzymiej wnęce, która śmiało mogłaby być refektarzem, zwalono na stos tysiące plecaków i walizek.

RANNI I TRUPY RAZEM

Idziemy w kierunku światełka. Głosy potężnieją. Ale ludzi zupełnie nie widać. Po kilkunastu krokach zobaczyłem widok, którego nie zapomnę do końca życia.

Na przedpolu, że tak powiem, ołtarza, na krwawych i na pół zgniłych szmatach, leżeli trzej ludzie. Gdy zbliżyłem się do tego miejsca, uderzył mnie w nozdrza trupi zapach. Pomyślałem: "Tu leżą trupy". Po kilku krokach z lekko rozświetlonych ciemności spojrzały na mnie trzy pary żywych, ludzkich oczu.

Byli to ranni Niemcy. Słyszałem już o nich od saperów, ale myślałem, że leżą gdzieś na wierzchu w mniej niesamowitych warunkach. Niemcy leżeli na materacach zszytych z ornatów kościelnych; przykryci byli kapami, których księża katoliccy na całym świecie używają w czasie nabożeństw. Niemców otaczała grupa dziennikarzy. Niewielu Anglosasów mówi po niemiecku. Z jeńcami rozmawialiśmy tylko my — Polacy.

Tekstu rozmów ujawniać, zdaje się nie wolno. Napiszę więc jedynie, że gdy jeden z kolegów spytał rannych, czy warto było tak beznadziejnie i zaciekle się bronić, młody chłopiec z Saarbrücken odpowiedział:

—"Ależ naturalnie".

Obrazu tego nie potrafię zapomnieć. Tak jak nie potrafię zapomnieć potwornych plecaków, które widzieliśmy w innym miejscu w podziemiach. Niemcy nie mieli gdzie w czasie oblężenia grzebać swoich zabitych. Nie mogli przecież wyjść spod ziemi na tyle czasu, żeby zabitego pochować. Musieli ponure te czynności załatwiać pod ziemią. Rąbali więc zabitych na kawałki i składali ciała do plecaków wojskowych i skrzyń klasztornych. Gdy otworzyliśmy wieko jednej takiej skrzyni myślałem, że natychmiast pomdlejemy.

Podziemia klasztoru Cassino są pełne tajemniczych zakamarków. Gdybym przed wojną przyjechał do Włoch jako turysta i zwiedzając zobaczył to, co widziałem w czasie wojny, wrażenie byłoby oczywiście zupełnie inne. Wojna nadała wszystkiemu w tych podziemiach kolor śmierci i niesamowitości. Kiedy stałem na ostatniej przełęczy, skąd po raz pierwszy zobaczyliśmy klasztor, porozbijane mury mieniły się jasnymi kolorami w upalnym słońcu. Nikt z nas nie pomyślał ani przez chwilę, że głęboko pod ziemią leżą żywi ludzie, obok których stoi żelazna bańka z wodą, a na posłaniu leży kawałek chleba i nóż.

Niemcy leżeli wyrównani, pod ostatnim stopniem ołtarza. Na ścianach dokoła nich widniały czarne krzyżyki. Były to stacje Męki Pańskiej, albo jakieś pozrywane obrazy czy — bo ja wiem — zamurowane ciała zmarłych zakonników.

Wspomniałem o obrazach. Wiadomo, że klasztor w Cassino zawierał wielką ilość bezcennych malowideł. Niemcy walcząc w klasztorze, używali dzieł sztuki zamiast tabliczek do wypisawania kierunków różnych poczt i ośrodków łączności.

W podziemiach trudno być długo. Nie ma czym oddychać. Ale ja, staram się możliwie dużo zobaczyć. Wychodzę ostatni. Na chwilę przedtem, gdy znalazłem się w długim korytarzu sam, pomyślałem, że oto . . . za chwilę wyjdzie duch któregoś ze zmarłych przeorów klasztoru, położy mi na ramionach kościste ręce i zapyta: "Powiedzcie ludzie czego tu szukacie. Czego chcecie. Wszystko już zniszczyliście. Zostawcie nas wreszcie w spokoju".

SZACUNEK DLA WŁASNEJ PRZELANEJ KRWI

Klasztor w Cassino jest symbolem polskiej wartości bojowej, polskiej miłości do wolności. Walczyliśmy o te mury, aby przebyć jeszcze jeden etap w drodze do własnych porozbijanych kościołów i popalonych domów. Zwyciężyliśmy. Polski znak narodowy powiewa dziś na murach, o które rozbiły się niejedne usiłowania, zmierzające do tego, co myśmy osiągnęli.

Żołnierze polscy, których widziałem w klasztorze, ot, choćby ci patrolowcy, zachowywali się jak w kościele. Niczego nie ruszali ani nawet głośno nie mówili. Nie robili tego — wydaje mi się — ze strachu przed jakimiś niesamowitościami. Robili to z szacunku dla własnej przelanej krwi.

Ostatnie słowa kojarzą się we wspomnieniach z innymi obrazami. Widziałem idąc do klasztoru kompanię bardzo pobitą, która szła do odwodu. Żywi żołnierze przechodząc obok kolegów pozaszywanych w koce, salutowali w milczeniu, poczym szli dalej.

Żołnierze, którzy mają zostać tu przez noc, zastanawiają się głośno, co Niemcy w czasie długiego oblężenia jedli. Chyba nic — mówi jeden. Jedzenia jakoś nie widać. Prócz kukurydzy nie było zdaje się w ostatnim czasie niczego.

Na podwórzu od wschodniej strony, znalazłem kilka niemieckich bunkrów. Leżą tam trupy i żerują muchy. W jednym maleńkim schronie widziałem list zapisany do połowy kartki. Jego prawdopodobny właściciel jest, jak można sądzić, jeńcem albo nieboszczykiem. Obok innego bunkra stoi wbity w ziemię mały krzyżyk, utrącony chyba pociskiem z jakiejś klasztornej wieżyczki.

Chodzimy, coraz niechętniej myślimy o odejściu. W dolinie pod klasztorem rozrywają się pociski niemieckich moździerzy. Walą gęsto. Zaczynam schodzić na dół. Zmęczenie po półgodzinnym odpoczynku w klasztorze, wydaje się jeszcze silniejsze. Ale trzeba iść.

OGIEŃ MOŹDZIERZY I HERBATA W DRODZE POWROTNEJ

W tej drodze powrotnej dostaliśmy się pod ogień niemieckich moździerzy. Dziś można się już z tego śmiać, ale pod ogniem bardzo daleki byłem od śmiechu. Zeszliśmy na dół z góry, na której stoi klasztor i jak można laikowi przypuszczać, Niemcy zauważyli po prostu długi wąż ludzi i zaczęli w nas walić. Może powód walenia był inny. Nie upieram się.

Korespondenci wojenni wszelskiego autoramentu nie należą do orłów wojennych, dlatego miło mi było, że obecny w naszej grupie redaktor "Orła Białego" zachował się jak przystało na prawdziwego komandosa. Wiem, że redaktor w latach dwudziestych należał do jakiejś szturmówki legionowej, ale co innego było za owych czasów, a zupełnie co innego pod Cassino, gdzie Niemcy, jako ludzie lubiący strzelać, wypatrzywszy nas, postanowili zabawić się w maszynkę do kręcenia mięsa.

Pociski moździerzowe mają szeroki rozrzut odłamków. Trudno się przed nimi uchronić nawet pod rozłożystym kamieniem. Kładliśmy się co chwila, a odłamki szurgotały wśród pobliskich krzaków. Stawało się coraz goręcej. Leżąc pomyślałem, jak musiało tutaj być wczoraj powiedzmy, kiedy ogień niemiecki był wielokroć bardziej morderczy.

W pewnym spokojniejszym miejscu żołnierze z bunkra przy drodze poczęstowali nas herbatą. Po mniej więcej dziesięciu minutach kolega operator filmowy, biegnąc wśród strzałów, położył się pod kamieniem. Obok niego położył się jeden z gościnnych chłopców od tej herbaty. Kolega po chwili rzucił się dalej, a żołnierz, który go dziesięć minut temu częstował, legł na jego miejscu. Padł pocisk. Blisko.

Żołnierzy na poprzednim miejscu mojego kolegi było trzech. Wszyscy trzej dostali po odłamku. Spotkaliśmy ich na punkcie sanitarnym. W mrocznej sali przydrożnego, jakimś cudem nierozbitego domu lekarz opatrywał ludzi, z którymi jakże niedawno rozmawialiśmy. Siedzieliśmy cicho. Patrzyliśmy na rany, które, gdyby nie maleńka różnica w czasie, odnieślibyśmy — my.

W połowie drogi, na ścieżynce, po której biegłem, co chwilę padając, pojawił się szybko idący ksiądz kapelan jednego z oddziałów Karpackiej. Pozdrowił mnie uśmiechem. Dowiedziałem się, że wraca z miejsca, gdzie udzielał ostatnich sakramentów i pocieszał rannych. Nie powiedział, że pomagał sanitariuszom przenosić tych rannych na punkty sanitarne. Tacy są polscy kapelani.

Wąż korespondentów rozciągnął się na kilometr. Niemcy walili dalej. Żołnierze spotykani na drodze byli wściekli. Mówili o niemieckiej niespodziance. Myśleli, że po zajęciu klasztoru chociaż przez kilka godzin będzie spokój.

Kiedy myśmy biegli na dół, pod górę szli wymizerowani ludzie. Szli na stanowiska. A my chroniliśmy się przed pociskami w drodze do miejsc, raczej od tych stanowisk oddalonych. Czułem się bardzo głupio.

Więc byliśmy w Cassino. Wracamy. Tutaj zostają inni. Korespondenci wielkich pism wyślą zapewne wielkie reportaże o polskim czynie. Ale dalej, za klasztor, korespondenci nie pójdą. Poczekają aż te same wojska zdobędą dalsze miejscowości. Żeby znów można było pojechać i zobaczyć.

Żołnierze, którzy te dalsze miejscowości mają zdobyć, idą w tej chwili pod górę.

Cisi. Zmęczeni. Nieustępliwi.

JERZY BAZAREWSKI



Pochwała Nowej Zelandii

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Wellington, N.Z. w lutym 1944

Podobnie jak za czasów napoleońskich, tak i obecnie, żołnierz polski wędruje zdala od ojczyzny "po lądach, morzach, piaskach gorących i mrozie, pośrodku obcych ludów." Gdy półtora wieku temu "w obozie cieszył ich i rozrzewniał" jedynie śpiew narodowy, obecnie przybył, dla niektórych przynajmniej żołnierzy-tułaczy, nowy moment krzepiący na duchu w postaci listów i darów z tej części Brytyjskiego Imperium, która do niedawna miała z Polską i jej obywatelami najmniej stosunkowo łączności — z dalekiej Nowej Zelandii. Oświetlenie tego jedynego w swoim rodzaju zjawiska jest celem niniejszej korespondencji.

W listopadzie 1941 r. p. Maria Wodzicka, żona konsula R.P. w Nowej Zelandii, wygłosiła w jednym z większych ośrodków, Palmerston North odczyt poświęcony żołnierzowi polskiemu walczącemu na obczyźnie wśród ciężkich fizycznie i moralnie warunków. Odzew był natychmiastowy i przechodzący wszelkie oczekiwania. Po skończonym odczycie zgłosiły się do prelegentki palmerstońskie panie, z prośbą o wskazówki w jaki sposób mogłyby ulżyć doli tego żołnierza. Obywatelki kraju, którego synowie jak prawdziwi kondotierzy wolności powędrowali na drugi koniec świata, aby wziąć udział w wojnie ludów, a który dba o tych swoich synów jak żaden inny, były w stanie odczuć lepiej, niż ktokolwiek, jak ciężki jest los żołnierza odciętego od swej ojczyzny i pozbawionego tego moralnego i materialnego poparcia, jaki daje kontakt z najbliższymi.

Za poradą prelegentki panie K. A. Jacques i E. L. Bale zdecydowały się utworzyć organizację. której celem miało być zaopiekowanie się żołnierzami polskimi na Wschodzie, posyłanie im paczek żywnościowych, nawiązanie z nimi kontaktu korespondencyjnego.

W ten sposób powstała *Polish Army League* w Palmerston North, której założycielki zaskarbiły sobie wkrótce dozgonną wdzięczność żołnierzy. Ich przykład powołał do życia cały szereg nowych placówek. Przede wszystkim w Eastbourne koło Wellingtonu, pod patronatem pani D. Hamer, a później w całym szeregu innych ośrodków, tak że dzisiaj, po dwu latach istnienia organizacja posiada około 60 filii, rozsianych po całym kraju.

Wyniki tej akcji są imponujące. Przeszło 2.000 żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie znajduje się obecnie pod troskliwą opieką "chrzestnych matek" nowozelandzkich, które posyłają im paczki, książki i listy. Ta niespodziewana pomoc w pierwszej chwili całkowicie zmistyfikowała niektórych żołnierzy, którzy otrzymawszy przesyłki zaopatrzone w odezwy: "Niech żyje Polska", "głowa do góry" itp., w przekonaniu, że pochodzą one od jakiejś zapomnianej kolonii polskiej w N.Z. odpowiedzieli szeregiem radosnych podziękowań skierowanych do "Rodaków i Rodaczek w N.Z." Wyjaśnienie nieporozumienia nie tylko nie osłabiło, lecz raczej wzmogło obustronny kontakt pisemny, i korespondencja pomiędzy żołnierzami polskimi a nowozelandzkim światem kobiecym rozwinęła się na dobre i mieni się coraz pełniejszą gamą uczuć.

Z setek wzruszających przykładów, wybieram krótki list młodego artylerzysty do uczenicy szkoły średniej w Palmerston North, która to szkoła zaadoptowała aż . . . całą baterię:

"Dear Anne,—I want to thank you very much for your kindness as you have sent me so many nice things—but your letter was much more for me because it was first letter from someone sent to me since the war separated me from my country where I have left all I love.

"Perhaps you will be pleased to hear that the parcel of yours was for me something like a rain in a desert. I wish you all the best and if you would like once more to send me a letter I'll be very, very happy.

"Yours sincerely,

Bolek . . . Paiforce".

W następstwie tej wymiany listów cały szereg żołnierzy został zaadoptowany przez nowe "matki chrzestne", niezależnie od *Polish Army League*, usuwając się w ten sposób z pod ewidencji. W istocie zatem, ilość żołnierzy korzystających z akcji Ligi jest większa, niż oficjalne cyfry wykazują.

Ale działalność Ligi na tym się nie kończy. Dzięki poparciu gen. Kopańskiego, który nawiasem mówiąc zyskał ogromną popularność wśród dam nowozelandzkich, i współpracy zarówno Ministerstwa Informacji w Londynie jak i Wydziału Propagandy i Oświaty Armii Polskiej na Wschodzie, duża ilość literatury i materiału informacyjnego o Polsce zaczęła napływać do N.Z. i znalazła chętnych odbiorców wśród pań opiekujących się żołnierzami, nie tylko dając im lepszy wgląd w zainteresowania i potrzeby "chrześniaków", ale szerząc równocześnie znajomość Polski.

Wartość propagandowa tego ruchu jest znaczna i okaże swój dobroczynny wpływ nie tylko w stosunku do żołnierzy. Zaznaczy się ona niewątliwie we wzmożonym stopniu po wojnie, gdyż Nowa Zelandia, kraj słabo wprawdzie zaludniony, ale niezmiernie zasobny i wojną bezpośrednio niedotknięty, jest powołana do odegrania pierwszorzędnej roli w dziele rekonstrukcji powojennej. Wiele wskazuje na to, że Polska będzie jednym z pierwszych krajów, które będą mogły korzystać z wydatnej pomocy Nowej Zelandii. Miarą tych możliwości jest ofiarność tutejszego społeczeństwa na rzecz Polskiego Czerwonego Krzyża i uchodźców z Syberii, która sięga poważnych rozmiarów już nawet teraz, kiedy lwia część zasobów kraju idzie na cele natury czysto wojennej.

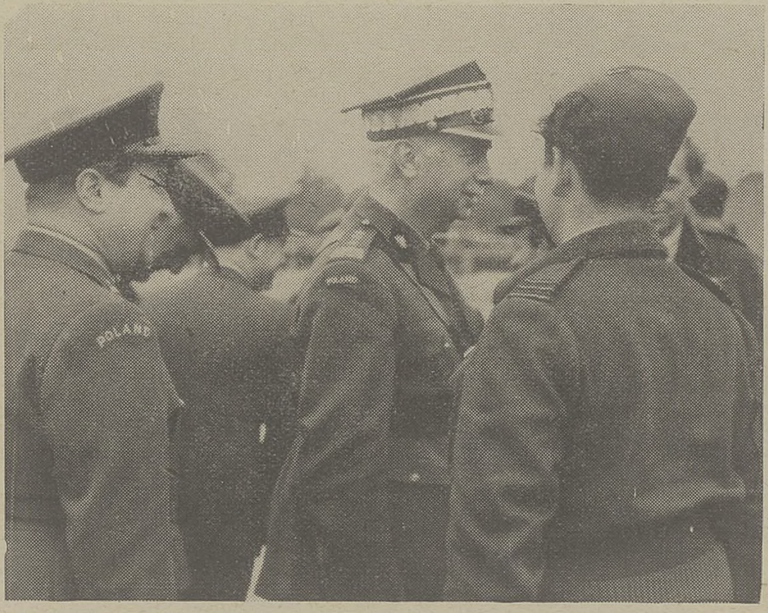
Ale też akcja obecna i widoki na przyszłą pomoc nakładają na wszystkich Polaków pozostających w kontakcie z ludnością N..Z., sporą dozę odpowiedzialności. Tyczy się to przede wszystkim żołnierzy, którzy przez swoje listy i reakcje na ofiarność pań nowozelandzkich, mogą sprawę wydatnie poprzeć, jak to w dużej mierze już uczynili, albo też wyrządzić jej niepowetowaną szkodę.

Na zakończenie chciałbym wspomnieć o misji pełnionej na tutejszym gruncie przez panią Wodzicką, której nazwisko wspomniałem w związku z utworzeniem się *Polish Army League*. Nie będę wchodził w szczegóły jej działalności, której ocena, jest rzeczą czynników bardziej ode mnie miarodajnych, ale pozwolę sobie jedynie dać wyraz przekonaniu, że bez jej inicjatywy i wysiłków akcja, której zasięg i znaczenie przedstawiłem, w ogóle nie miała by miejsca.

Nie mogę jednak odmówić sobie przyjemności napomknienia o liście otwartym pani Wodzickiej, który ukazał się kilka miesięcy temu we wszystkich większych dziennikach nowozelandzkich. Jest on idealnym uzupełnieniem obrazu skreślonego powyżej, o tyle, że daje wyraz uczuciom żywionym przez panie *polskie* dla żołnierzy *nowozelandzkich*. Pani Wodzicka dziękując w nim tutejszemu społeczeństwu za pomoc udzieloną partii dzieci i kobiet polskich zdążających poprzez Nową Zelandię do Meksyku, złożyła jednocześnie hołd żołnierzom tego kraju, którzy dziećmi tymi w czasie długiej podróży morskiej się zaopiekowali. Uczyniła to w sposób tak ujmujący, że list wywołał natychmiastową odpowiedź w postaci wstępnego artykułu w jednej z najpoważniejszych gazet tutejszych, utrzymanego w tonie nad wyraz kurtuazyjnym i życzliwym.

Cytowanie tych dwu publikacji rozsadziłoby ramy tej korespondencji, wobec czego ograniczam się do przesłania ich Redakcji "Polski Walczącej" w nadziei, że znajdzie dla nich miejsce na łamach swego pisma. A mam wrażenie, że zasługują one na przedruk nie tylko jako wymowny dowód węzłów zadzierzgniętych między Polską a Nową Zelandią, ale jako jeden z najpiękniejszych przykładów przyjaźni polsko-brytyjskiej w ogóle.

LEOPOLD HARTMAN



Dnia 25 ub.m. Naczelny Wódz przeprowadził inspekcję polskiego zgrupowania myśliwskiego. W czasie inspekcji odebrał defiladę powietrzną, oraz przyglądał się ćwiczeniom i pokazom akrobatycznym zgrupowania. W drugim dniu inspekcji gen. Sosnkowski udekorował Złotym Krzyżem "Virtuti Militari" mjr. pil. Stanisława Skalskiego — wsławionego akcją w Tunisie. Po dekoracji Naczelny Wódz wygłosił przemówienie, w którym m.in. powiedział:

"W chwili dziejowej, gdy los Polski się rozstrzyga, niech miłość do Niej stanowi o wszystkim co od nas samych zależy. Odrzućmy precz wybujałe ambicje osobiste, uczucia zawiści, odłóżmy narazie naturalny i zrozumiały skądinąd spór pokoleń, — zamknijmy wszystkie skryte dojścia do twierdzy polskiego ducha.

"W dniach trudnych, gdy stroskana myśl ludzką szuka wyjścia z zaklętego koła, jedynym zawołaniem dla nas będzie "służba Polsce i tylko Polsce". — a tej jedności myśli i ducha żadne kliny nie rozsadzą".

Atak na Stockholm . . .

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Stockholm w marcu 1944

Po powrocie z Anglii wygłaszałem prawie każdego tygodnia odczyty w klubach szwedzkiej młodzieży socjaldemokratycznej. Przypominało to Warszawę, piątkowe referaty dzielnicowe — raz na Woli, raz na Pradze, na Ochocie, Powązkach i Czerniakowie.

22-go lutego b.r. byłem referentem na t.z. "wieczorze polskim" w Klubie Szwedzkiej Młodzieży Socjaldemokratycznej w dzielnicy Eriksdal. Mówiłem o organizacji Polski Podziemnej, o oporze, stawianym okupantowi, o walce jaka toczy się pod powierzchnią polskiej ziemi. Odczyt dobiegał końca. Przedstawiłem organizację prasy nielegalnej i ciekawym oczom młodych Szwedów i Szwedek zaprezentowałem fotokopię podziemnego "Robotnika w walce".

W czasie, gdy egzemplarz nielegalnej gazety krążył z rąk do rąk, potężny huk wstrząsnął powietrzem. Żelbetonowy budynek przy Raggatan 12 zatrząsł się cały w posadach. Obecni oniemieli, lecz jeden z klubistów wybiegł zaraz na ulicę, by zobaczyć co się stało. Po chwili wrócił, oświadczając, że w pobliżu wybuchł pożar. "Wieczór polski" odbył się w dalszym ciągu w niezmąconym spokoju, dyskusja potoczyła się wartkim strumieniem. Pytano o nasze sprawy z Rosją, o granice, o Ukraińców i Białorusinów, o antysemityzm, o linię Curzona, o Katyń, o to ilu jest Litwinów w Wilnie, czy mamy zamiar oddać Czechom Zaolzie i czy chcemy wziąć dużo ziemi na Zachodzie.

Było już późno, gdy po odpowiedzi na wszystkie pytania wracałem do domu. Niedaleko lokalu młodzieży socjaldemokratycznej płonął wielki gmach teatru Eriksdal. Ludzie tłoczyli się dokoła i oblegali kordon policyjny, straż pożarna pełniła ofiarnie swą służbę. Na pytanie co się stało, usłyszałem odpowiedź równie krótką, jak wymowną: B o m b y.

Istotnie radio szwedzkie ogłosiło tegoż wieczoru 22-go lutego o godz. 11-ej nadzwyczajny komunikat, że obce samoloty przedarły się do Stockholmu i rzuciły bomby na miasto. Nazajutrz i w ciągu kilku dni następnych powtórzyło się to w kilku innych stronach Szwecji. Dochodzenie miało wykazać, że były to samoloty rosyjskie, wracające prawdopodobnie z Finlandii. Odłamki bomb bowiem miały zawierać rosyjskie napisy.

W prasie i w parlamencie pytano gdzie była obrona przeciwlotnicza i dlaczego nie zarządzono alarmu? Minister wojny odpowiedział, że trudno ogłaszać alarm, gdy obcy samolot daje znaki ostrzegawcze, że zmuszony jest do lądowania. Poseł szwedzki w Moskwie złożył protest, a rząd sowiecki odpowiedział, że żadne rosyjskie samoloty nie krążyły nad Szwecją. Taką samą odpowiedź dała Moskwa w roku ubiegłym, gdy szło o rosyjskie okręty podwodne, operujące na wodach szwedzkich. Wtedy jednak pisał odważny *Göteborgs Handels och Sjöfarts Tidning*, że gdy neutralny kraj dostarcza neutralnymi wodami rudy żelaznej do Niemiec, to nie powinna nikogo dziwić obecność alianckich okrętów podwodnych na neutralnych wodach.

Pytałem robotników szwedzkich co sądzą o bombach, które padły na Stockholm. Usłyszałem zadziwiającą odpowiedź, że jest to prowokacja niemiecka . . .

* * *

Od tego czasu upłynęły zaledwie trzy tygodnie. "Gwałtowne walki uliczne podczas próby zamachu na Söder" /południowa część Stockholmu/. Tak mniej więcej brzmiały nagłówki wszystkich dzienników stołecznych Szwecji w poniedziałek dnia 13 marca 1944.

Oto okazało się, że wczesnym rankiem niedzielnym wielkie ilości sabotażystów przybranych w mundury wojskowe, wśród nich niektóre osoby nawet w randze pułkowników, inne osoby na motocyklach ze sfałszowanymi oznakami policji — przygotowały akcję przeciwko stolicy neutralnej Szwecji. Osoby te popełniły szereg aktów sabotażowych, mających na celu opanowanie przez nieprzyjaciela mostów wiodących z południowej części Stockholmu, Söder do centrum stolicy. Próbowały wysadzić w powietrze most Arsta, stanowiący główne połączenie z miastem od południa, próbowały też unieruchomić komunikację kolejową i tramwajową. Sabotażyści używali różnych sposobów. Czułe pary małżeńskie spacerujące z dziecinnymi wózkami po moście Liljenholm nie wzbudziły żadnej nieufności straży i udało im się zniszczyć mechanizm, za pomocą którego otwiera się ten most zwodzony. Innym sabotażystom udało się skraść klucze do wielu schronów, aby w ten sposób uniemożliwić ludności ukrycie się i wywołać wśród niej panikę.

Po tych wstępnych incydentach zaalarmował mieszkańców Stockholmu huk wybuchających bomb. Wedle nadchodzących do kwatery wojskowej meldunków silne nieprzyjacielskie oddziały spadochronowe dokonały desantu w okolicy mostów Arsta i Liljenholm. Zaalarmowana straż Krajowa *Hemvärn* /obywatelska paramilitarna organizacja obronna/ z podmiejskich dzielnic Enskede i Bränkyrka rzuciła się na tyły napastników i uniemożliwiła im owładnięcie mostami.

Ale nieprzyjacielskie siły desantowe nie dały za wygraną. Były one już na tyle silne, że wykonały manewr okrążający ku zachodowi na Langholmen, aby przedostać się na najdłuższy w Europie most t.zw. Västerbron. Rozporządzały wozami pancernymi, uzbrojonymi w automatyczne działa szybkostrzelne. Mimo obrony, w czasie której każdy blok domów przeistoczył się w istną fortecę, mimo silnego ognia zaporowego z broni ręcznej i automatycznej udało się nieprzyjacielowi umocnić w terenie Langholmen na przyczółku Västerbron.

Około godz. 8 min. 30 nieprzyjaciel dotarł do Skinnarviksbergen i do Torkel Knutsonsgatan, czyli dość blisko wnętrza Stockholmu. Tutaj obrona otrzymała posiłki złożone z wyborowych oddziałów szkoły oficerskiej Karlberg i obrony przeciwpancernej Svea Livgarde. Okolice Torkel Knutsonsgatan były zabarykadowane, otoczone zasiekami, zapchane wozami pancernymi i działami przeciwpancernymi. Niektóre miejsca zaminowano. W innych ustawiono zapory kamienne.

Ulice całe stały w płomieniach. Straż pożarna musiała utworzyć ponad oddziałami śpieszącymi na pomoc t.zw. parasol wodny, to znaczy puszczać wężami nieustanne strumienie wody, aby gasić pożary, tak aby oddziały wojskowe mogły skutecznie posuwać się naprzód przeciwko nieprzyjacielowi. Wśród nieustannego huku wystrzałów, wybuchu bomb i granatów, warkotu samolotów, wśród języków ognia wypierano nieprzyjaciela z jednej ulicy po drugiej. Wreszcie o godz. 9 min. 15 rano po całonocnej walce dano rozkaz zaprzestania ognia.

Wszystko skończyło się defiladą kilku tysięcy wojska przed następcą tronu, socjalistycznym ministrem wojny Per Edwin Skjöldem i generałem Cederskjöldem, dowodzącym akcją. Były to ćwiczenia . . .

W ten sposób odpowiedziano na zaniepokojenie opinii publicznej, na dręczące człowieka z ulicy pytania, czy obrona przeciwlotnicza działa dobrze, dlaczego nie strzela się do obcych samolotów, czy pogotowie obronne Szwecji, dzisiaj, w piątym roku wojny i po wydatkowaniu na zbrojenia około 8 miliardów koron znajduje się na należytym poziomie?

Ale jakie było założenie tych ćwiczeń, skąd groził i przyszedł napad, który to sąsiad organizował na swoją rzecz sabotażystów i piątą kolumnę, by opanować *Blitzkriegiem* stolicę starej i wolnej Szwecji? . . . Był to sąsiad z południowego zachodu.

* * *

W dniu 17 marca 1944 aresztowały władze sądowe Wilhelma Berndta Lindholma, członka nazistowskiej organizacji *"Nationella Förbundet"*, urzędnika wojskowego Bertila Oskara Rutgerssona również członka nazistowskiej *"Nationella Förbundet"*, kucharza Carla Oskara Johanssona *i obywatela niemieckiego, tłumacza przy poselstwie niemieckim w Stockholmie Fryderyka Gustawa Günthera* pod zarzutem zbrodni paragrafów 8, 11 i 14 ustawy karnej o szpiegostwie.

Udzielali oni obcemu państwu ważnych wiadomości dotyczących obrony Szwecji, które powinny były zostać tajemnicą.

To nie były już ćwiczenia, markujące atak na Stockholm . . .

MAURYCY KARNIOL

Bez blackoutu

Po wielkiej "inwazji" druczków informacyjnych i deklaracyj ideowych, po potopie ulotek, którymi tajemni "myśliwcy" zasypywali w ostatnich czasach wojsko polskie i emigrację cywilną w Wielkiej Brytanii, przyszła kolej na nowe . . . gazetki.

W kwietniu ukazał się organ "Zjednoczenia Polskiego" p.t. "Polska", numer pierwszy i mamy nadzieję, że ostatni. Bo o papier coraz trudniej nawet dla rzetelnych pism, cóż dopiero o koncept, którego nie starczyło na cztery strony małego formatu, małej, bardzo małej "Polski". Tylko dwóch autorów "zjednoczonych" podpisało się w tym "organie" pełnym nazwiskiem: inż. H. Łukasiak i adwokat S. Wilanowski. Inni — to anonimy. Kropla w kroplę jak delegacja "krajowej" Rady Narodowej, która z wielką pompą zjechała do Moskwy. Nie zajmowalibyśmy się na łamach pisma żołnierskiego tym jeszcze jednym objawem "progresywnej działalności" rzekomo polskich "zjednoczeniowców", czy "postępowców" na terenie Wielkiej Brytanii, gdyby nie tupet, z jakim inżynier i adwokat wdzierają się w sprawy "Armii Rzeczypospolitej" /tytuł głównego artykułu/.

Inż. Łukasiak stwierdziwszy, iż zagadnienie Polskich Sił Zbrojnych jest sprawą wielkiej wagi /epokowe odkrycie!/, biada, że pozwala się na prowadzenie "oszczerczej i podłej kampanii szeptanej, iż armia generała Berlinga to zdrajcy, sprzedawczycy i wrogowie Polski". Pisze on dalej:

" . . . Patrzy się przez palce na to jak różni londyńscy "bohaterowie" uruchamiają cały aparat pseudopatriotycznych frazesów, aby w oczach Polonii Brytyjskiej armię tę zdyskredytować i zohydzić".

Panie inżynierze! Punkt widzenia żołnierza polskiego w tej sprawie niewątpliwie zainteresuje Pana i jego anonimowych przyjaciół: otóż za zdrajcę, sprzedawczyka i wroga Polski uważaliśmy zawsze i uważamy konsekwentnie takiego człowieka, który znajdując się w warunkach umożliwiających mu życie i służbę w regularnym wojsku polskim, wiernym przysiędze, szedł na lep obcych haseł, cudzej forsy i handlował własną ziemią. Natomiast za ofiary wojny, straszliwej drugiej wojny światowej, uważamy ludzi przemocą branych do obcych szeregów, ludzi zmuszonych okolicznościami życiowymi do tej naprawdę tragicznej konieczności. Naturalnie nie muszę Panu tłumaczyć w tym miejscu, że myślę między in. o Polakach, przemocą wziętych n.p. do armii niemieckiej, których obecnie coraz częściej z wielkim wzruszeniem i serdecznością witamy w szeregach naszych w Szkocji.

Jest wielka różnica pomiędzy chorążym Śmietaną /z armii Berlinga/, którego nazwisko powtarza się czasem w komunikatach radia Kościuszki i n.p. . . . Panem Inżynierem. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że Śmietanę los zagnał na daleką Północ, i że jego rodzina mówiąc stylem księdza Orlemańskiego "szukała gościnnego schronienia" na Syberii. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że Śmietanowie — matka i dzieci — korzystają do tej pory z dobrodziejstw tamtejszego rządu i tamtejszego klimatu. Jest rzeczą pewną, bo przez brytyjską agencję prasową podaną, że koledzy Śmietany pytali nawet profesora Langego w czasie jego po-orlemańskiej wizyty rosyjskiej, dlaczego nie mogą osiągnąć jakiegokolwiek porozumienia ze swoimi rodzinami, pozostałymi w Kazachstanie. Można zaryzykować opinię, że Śmietana mógł nie mieć innego wyjścia, a Pan Inżynier? Pan się zapędził na Wschód z własnej woli. Po co? Czy po wawrzyny "londyńskiego bohatera"? Pisze Pan:

" . . . I zato, że ludzie ci walczą i giną o wyzwolenie Polski, różne karły i ujadacze odpłacają im oszczerstwem i nikczemnością. Zaiste — już niżej zejść niepodobna".

Bijące z artykułu inżynierskie zdenerwowanie jest bardzo charakterystyczne. Wygląda na to, że nie tyle idzie tu o "szkalowanie" żołnierzy wcielonych do armii Berlinga, ile o bojkot "Zjednoczenia" w Londynie i o stałe, zupełne odcięcie się społeczeństwa polskiego od tych śmiesznych, nieudałych i z góry na niepowodzenie skazanych prób "organizacyjnych". Wiemy o tym, że próby takie w Kraju spełzły na niczym; teraz ta sama historia powtarza się na terenie "Polonii Brytyjskiej" jak mówi autor artykułu.

" . . . Sprawa Polskich Sił Zbrojnych jest sprawą całego narodu polskiego" — kończy pompatycznie pan Łukasiak. Niewątpliwie. Ale /jest to "ale" przez wielkie A!/ o tym, kogo uważamy za członka polskich sił zbrojnych i jakie są prymitywne, podstawowe kwalifikacje moralne dla obywatela-członka narodu polskiego — o tym wyda sąd Polska, nie ta czterokartkowa "Polska" londyńska.

Że wola Kraju bardzo tych panów interesuje, dowód w artykule adwokata /czyich spraw?/ Wilanowskiego, który omawia ten temat w sposób dający niewiele do myślenia, objawiając również dużą irytację i silne podenerwowanie.

Oczywiście główny sens mecenasowskiego wywodu to napaść na rząd polski i na polski "faszyzm". O czym by oni pisali, gdyby nie ten polski faszyzm, który już nawet we Włoszech i w Niemczech jest wydawany na kartki! Ceniony autor biada dalej, że Wanda Wasilewska i Andrzej Witos przestali być dla nas Polakami, że "padły jadowite słowa: zdrajcy i sprzedawczycy". Ciekawe, Inżynier i mecenas! Dwa biegunowo różne zawody a te same "czułe" miejsca.

"Za jedyny i najwyższy autorytet — *kończy mecenas* — uznajemy wolę Kraju, wyrażoną za pośrednictwem wyłonionych przezeń demokratycznych organów władzy".

To bardzo niebezpieczne. To prawie jak wyrok na siebie samego. My jesteśmy pewni woli Kraju, w którym nie będzie miejsca dla kupczyków potajemnie handlujących rodzinną ziemią.

Skoro zajęliśmy się dwoma głównymi artykułami tego nowego "organu", przyjrzyjmy się dalszym, może mniej ważnym, ale jakże charakterystycznym rubrykom. N.p. "Z życia organizacyjnego". Dowiadujemy się, że w kwietniu odbyło się zebranie dyskusyjno-informacyjne Komitetu Organizacyjnego Zjednoczenia. Na tej "historycznej" uroczystości było około . . . 70 "rodaków". Ciekawa cyfra! Powtarza się ona w "Kronice Polskiej" tegoż organu w notatce o powstaniu "Polskiego Komitetu Słowiańskiego". Na tym wzruszającym obchodzie również zgromadziło się . . . 70 "rodaków". Nasuwa się myśl, że jest to może jakaś "Czołówka propagandowa" w pełnym składzie siedemdziesiątki. Może te same persony występują raz jako "Liga Kościuszkowska", raz jako "Zjednoczeniowcy", raz jako "Postępowcy" a potem jako . . . Słowianie? Tak, tak. Brak ludzi. Potworny brak ludzi. Szczególnie do takiej roboty.

Wspomniana "Kronika Polska" tego wesołego organu jest również bardzo bogata i ciekawa. Dowiadujemy się z niej n.p. że:

"W szkołach polskich w Z.S.R.R. uczy się obecnie 15.000 dzieci. Tam gdzie liczba nie wystarczy na stworzenie szkoły polskiej istnieją specjalne oddziały polskie . . ."

Napewno nie braknie tam dzieci polskich na tworzenie szkół? Przecież istniały specjalne "oddziały", które wywoziły je dniami i nocami w nieopalanych wagonach towarowych. O, wystarczy, niestety, wystarczy!

Poza szkołami — donosi dalej kronikarz — istnieje na terenie Z.S.R.R. 88 przedszkoli. Zatrzymajmy się chwilę celem dokonania małego obliczenia. Przedszkole jest to szkoła dla dziecka w wieku przedszkolnym. Więc dla pięciolatków. Z tego logicznie wynika, że kandydaci do przedszkola zostali zaproszeni na "studia" w pamiętnych latach 1940 — 1941, mając rok lub tylko kilka miesięcy życia. Co za organizacja! A mówiłem na początku, że to ciekawe pisemko ten "organ" czterokartkowy! Tylko dokładnie czytać, myśleć i notować.

Niedźwiedzią przysługę można oddać najlepszemu przyjacielowi z własnej głupoty, choćby się było mu zaprzedanym, nie tyle "na śmierć" ile . . . "na życie". To znaczy, żeby żyć, i to wygodnie, za jego pieniądze w Londynie. A propos. Interesujący jest apel zamieszczony w tym samym numerze:

"Organizacja nasza nie rozporządzając żadnymi funduszami bez których niemożliwa jest jakakolwiek szersza działalność zwraca się do wszystkich Polaków w Wielkiej Brytanii z prośbą o pomoc finansową".

Dobry chwyt. Ale tani. Forsa się napewno znajdzie i "szersza działalność" będzie możliwa /do czasu, oczywiście/, tylko znani dobroczyńcy zażądają od was większej ostrożności w statystykach szkół i przedszkoli i poproszą na ucho, aby nie pisać o "narodzie trzymanym za mordę".

Oprócz omówionej już "Kroniki" pisemko posiada jeszcze "Wolną Trybunę", na której staje p. C.H. /anonim/ i pomstując na rząd polski i na wojsko, woła, że polityka polska jest fałszywa, a stąd:

" . . . gra na zwłokę, na przeciąganie wojny, niechęć do drugiego frontu i . . . oszczędzanie armii".

Ładnie się wybrał. Akurat w momencie ataku na Monte Cassino. Panie H. Zleź pan z "Trybuny"!

Niepodpisany autorzyna przypuszcza chytry atak na lotnictwo polskie w artykule: "Zadania i przewidywania". Według tegoż anonima zadanie Lotnictwa Polskiego obecnie nie polega na szkoleniu, ale na "podaniu ręki partyzanckiej armii krajowej na złączeniu wysiłku z żołnierzami armii polskiej w Z.S.R.R." Atak organu "Zjednoczenia" idzie głównie przeciw "Myśli Lotniczej" i artykułowi Inspektora Lotnictwa. Najmocniej zwalcza się plan szkolenia, upatrując w nim chęć zwlekania i oszczędzania Polskich Sił Zbrojnych.

Pamiętajcie panowie "patrioci", że w roku 1940, gdy Wielka Brytania nie miała jeszcze potężnych sojuszników przy swoim boku, Lotnictwo Polskie "szkoliło się" w ogniu jednej z najcięższych bitew lotniczych, znanej może i Panom pod nazwą "Battle of Britain". Więc nie tędy droga. Te chwyty już nie łapią. Tym więcej, że po ciężkich walkach II Korpusu i wspaniałym zwycięstwie we Włoszech bagnet żołnierza polskiego już wytrącił wam z ręki nędzne, oszczercze pióra.

Dlatego to przyszła teraz pora, aby otwarcie i głośno ostrzec wszystkich Polaków, a w szczególności żołnierzy, przed tymi, przeważnie dobrze zamaskowanymi, działaczami; trzeba wyraźnie powiedzieć, że wszystkie te "Ligi Kościuszkowskie", "Zjednoczenia", "Związki Postępowe" i "Komitety Słowiańskie" są po prostu filiami "Związku Patriotów" w Moskwie, a jedynym ich celem jest rozbicie jedności i solidarności Wojska Polskiego i emigracji cywilnej w Wielkiej Brytanii. Musimy mieć pełną świadomość, Koledzy, kto i do czego zmierza. Inflacja ulotek, pisemek podejrzanych, dobrze zakamuflowanych wydawnictw, kampania ataków radiowych w różnych językach świata, potok obelg pod adresem Głowy Państwa, Rządu i Naczelnego Wodza, musi spotęgować tylko naszą czujność i naszą odporność.

Jasną jest dla nas rzeczą, że "odkrycia" i "rewelacje" po tamtej stronie w stylu przyjazdu "Sowietu Polskiego" z Warszawy do Moskwy, w stylu przemówienia Berlinga o "hańbie" generała Andersa "uciekiniera z pola walki w Rosji" łącznie z "bombą" groteskowych wizyt amerykańsko-moskiewskich, zmierzały i zmierzają do osłabienia znaczenia wydarzeń po tej stronie frontu. Wydarzeń, których waga mówi sama za siebie: przyjazd delegatów Kierownictwa Ruchu Podziemnego z Polski do Londynu, zwycięstwo II Korpusu pod dowództwem gen. Andersa we Włoszech i obrady Kongresu Polonii Amerykańskiej w Buffalo, odbywające się pod hasłem uzdrowienia moralności międzynarodowej i zbliżenia Polski do Ameryki.

Zestawcie to sobie i wyciągnijcie wnioski.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE ARTYKUŁU O "NIEWYKLUTYM POKOLENIU"

Szanowny Panie Redaktorze,

Autor artykułu p.t. "Niewyklute pokolenie" /w nr. 18 "Polski Walczącej"/, jak i Redakcja tygodnika zasługują na pełne uznanie za przedłożenie tych głębokich i jakże na czasie zagadnień na forum naszego polskiego środowiska na emigracji.

Podkreślić jednak muszę, że mnie przenikały bardzo mieszane uczucia po przeczytaniu omawianego artykułu. Bo chociaż intencją autora było przedstawić polskie emigracyjne problemy młodzieżowe "szczerze i po prostu", to jednak nie udało mu się to całkowicie. Nie dziwię się temu, bo szczere i proste omówienie poruszonych zagadnień jest niezmiernie trudne. Dla wszystkich — dojrzałych i młodych. Sądzę, że nikomu dotąd to się nie udało, gdyż szczerości w podobnych sprawach przeciwstawiają się silnie rządzące każdym człowiekiem motywy, leżące raczej w sferze imponderabiliów. Dlatego nie zamierzam zaczepiać zawartych w artykule a widocznie świadomie dokonanych ugólnień, których znaleźć można by wiele, a przejdę tylko wprost do tych ujęć autora, które są jakoby samodzielnie dokonanymi spostrzeżeniami dojrzewającego na emigracji pokolenia, nienawidzącego "zakrzepłych formułek czy doktryn".

Wprzód jednak niech mi będzie wolno przypomnieć, że obecna młodzież nie jest pierwszą polską młodzieżą dojrzewającą na emigracji. W okresie ostatnich 150 lat niemal każde pokolenie naszej młodzieży tragiczny bieg historii zmuszał do szukania możliwości walki, a gdy walka ustawała — schronienia i chleba na obcych ziemiach. I wiele tych pokoleń przeżywało chwile do złudzenia przypominające dzisiejsze. I w armii Napoleona i w Legionach Dąbrowskiego pod italskim niebem, czy też w Legionie Mickiewicza, czy w gościnie u Turków — wszędzie byli młodzi Polacy zdobywający "swe życiowe oblicze w warunkach niezwykłych". I tam również nie miał młody Polak "żadnego pola, na którym mógłby się dać poznać, był zawsze jak gdyby zamaskowany mundurem, nakazującym mu i milczenie i szablon".

O tym należy nie zapominać, do tych nie zawsze bardzo odległych czasów należy biec często myślą. Wtedy łatwiej nam będzie zrozumieć, że nie "my piastujemy tradycję walk", ale, że *tradycja walki jest młodych polskich pokoleń przekleństwem dziejowym.*

Prawdą jest, że służba wojskowa nie daje "wolności indywidualnej". Dzieje się tak w czasie pokoju, trudniej jeszcze chyba domagać się jej w czasie wojny. W tym miejscu ciśnie się pod pióro słowo: *JEDNAK.* Ktoś powiedział, że obecna wojna jest najdziwniejszą z wojen. Jest to prawda mająca duże zastosowanie do nas Polaków, będących w armii.

Dzięki tej dziwnej wojnie — w czasie jej trwania — żołnierze nasi mają do rozporządzenia dużo wolnego czasu, mogą być odkomenderowani na studia, na najprzeróżnorodniejsze kursy, mogą się dokształcać . . . A jak było w czasie poprzedniej wojny to obecni dwudziestodwuletni młodzieńcy mogą się dowiedzieć od swych ojców. Istotnie "wyjątkowe warunki".

Rzecz oczywista, że na obcym terenie państwowym, tkwiąc w armii, gdzie życie jest ustalone nieznoszącymi sprzeciwu regulaminami i przepisami — młodzież nie może robić normalnej cywilnej kariery, którą ułatwiała mu także między innymi możliwość przenoszenia się z jednej gałęzi przemysłu, handlu, czy administracji państwowej do innej. W wojsku polskim na emigracji nie jest nawet zbyt łatwo przenieść się z piechoty do artylerii, ale gdyby tak było inaczej, czy było by lepiej? Byłby chaos a nie armia.

Pojęcie "wybicia się", jak każde pojęcie, jest bardzo względne. W wojsku pojęcie to łączy się ściśle z awansem. Ludzie bez cenzusu marzą o stopniach podoficerskich, cenzusowcy o oficerskich, a oficerowie o wyższych szczeblach drabiny rang oficerskich. To jest zrozumiałe i to jest zdrowe. Ale tylko, jak w każdej karierze — do pewnych granic. Dotyczy to wszystkich. Inaczej przeradza się w rzecz brzydką, która nazywa się karierowiczostwem, a którą właśnie należy zaliczyć do tych "fałszywych doktryn", których autor omawianego wyżej artykułu nie precyzuje, a które istotnie powinny kłaść cień na czole zdrowo myślącego o przyszłości swej ojczyzny młodego Polaka. Ale czy kładzie?

Nie bardzo mi się to wydaje, skoro autor artykułu każe czytelnikowi śledzić myśli dwudziestopięcio-letniego starszego strzelca z cenzusem, służącego cztery lata w wojsku na widok dwudziestojednoletniego kapitana innej armii, "niewykształconego smarkacza, który na froncie jeszcze nie był i może dopiero rok jest w wojsku".



Przyznaję, że chwyt jest co najmniej sugestywny, ale muszę zapytać, czy prosty i szczery? Bo ani na chwilę nie wątpię, że autor wie, iż w polskiej armii są też młodziutcy kapitanowie, a w tej innej także — bardzo starzy *lance-caporal'e* z cenzusem.

Bardzo pragnę, aby wszyscy dwudziestokilkoletni młodzieńcy w armii polskiej zastanowili się, co sobie myślą ci wszyscy niezbyt starzy, bo około czterdziestoletni podoficerowie z cenzusem, a nawet z wyższym wykształceniem, którzy w czasie zeszłej wojny, jako kilkunastoletni chłopcy, nierzadko poniżej piętnastu lat, walczyli o niepodległość i byli nawet ciężko ranni i mający, powiedzmy tak z dziesięć lat służby wojskowej — na widok osiemnastoletniego podporucznika własnej armii, służącego w wojsku może rok, a nie będącego jeszcze na froncie?

Przykro jest pomyśleć, że człowiek pojedyńczy łatwiej wyleczy się ze swoich indywidualnych wad, które może są szkodliwe dla niego samego, ale na społeczeństwo zupełnie nie oddziaływują, że natomiast wady społeczne ciążące na życiu narodów i hamujące ich rozwój — są niemal nieuleczalne, przynajmniej trudno uleczalne.

Do takich wad, jeśli chodzi o społeczeństwo polskie, należy bezsprzecznie małpowanie cudzoziemczyzny, chwalenie w czambuł cudzych wzorów. Zdawać by się mogło, że właśnie młodzież nasza będąca na przymusowej emigracji, wykorzysta ten czas na porównanie różnych polskich urządzeń społeczno-państwowych z obcymi i że dojrzy wiele rzeczy co najmniej wytrzymujących porównanie. Niestety tak nie jest.

Dowodzi tego artykuł "Niewyklute pokolenie", pomimo, że autor artykułu twierdzi, iż "młodzi nauczyli się myśleć szerokimi kategoriami, tak szerokimi, jak droga, którą przebyli". Tymczasem kategorie są nie tak bardzo szerokie, skoro "Wojtek nie od razu pojął obywateli pomagających swemu państwu i nie od razu ocenił państwa dbające o swych obywateli", skoro "dziwił się Kazik uprzejmości policjantów, aż ich polubił".

Wygląda na to, że młodzież nasza nie studiuje spraw społeczeństw wśród których przebywa, nie stara się zbadać stosunków i nastrojów ludzi, z których gościny korzysta. Jej nic nie wiadomo o głodowych zarobkach górników, o walce o równość płac dla obu płci za równą pracę, o nędznych zasiłkach dla rodzin ludzi umierających za króla i ójczyznę, o skazaniu na "naganę" księcia, który pobił laską i pięścią najwyższego urzędnika miejskiego 79-cioletniego — najzupełniej nie sprowokowany?

Ponieważ nigdy nie popadli, choćby w najmniejszy konflikt z obcym policjantem, zapominają, że członków rodzimej policji wolno było bezkarnie nazywać "sułanami", czy inną "gliną", choć ten "sułan", czy "glina" robił po 18 godzin ciężkiej służby.

Cały "rozstęp" między starymi i młodymi, o którym autor tyle pisze, można włączyć na szczęście do odwiecznego rozdźwięku, jaki panuje między dwiema generacjami. Młodzi zawsze chcą zmian, lecz nie zawsze wiedzą jakich. "Mają pewien pogląd ogólny, przypominający demokrację", podczas gdy starsi, doświadczeni już życiem, pragną demokracji.

Rozdźwięk ten wstrzymuje postęp ludzkości. Bo, gdy dzisiejsze młode pokolenie dojrzeje do 100% demokracji, podrośnie nowe pokolenie młodzieży, które z pewnością także stanie na ostrym zakręcie drogi . . . Rzecz w tym, aby ten rozdźwięk zmniejszał się z każdym pokoleniem, a to się da osiągnąć jedynie przez pilną naukę, niekoniecznie na ławie szkolnej czy w cywilnym ubraniu i przez baczne obserwowanie zjawisk wśród których żyjemy. Stanie się wówczas to, do czego wzdychał Kochanowski: "Młodość i rozum pójdą razem".

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Mieczysław Nievelt

Dla Polaków w Rosji: £10,951

Redakcja "Polski Walczącej", Londyn.

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £4 sh.7 d.4, złożoną przez żołnierzy . . dyonu . . . Pamot. z dobrowolnych składek dekadowych w miesiącu maju r.b. z przeznaczeniem jak następuje:

1/ £3 sh.10 na pomoc Polakom w Rosji,

2/ sh.17 d.4 na paczki dla jeńców w Niemczech.

Dowódca Dyonu
mjr. K. Mal . . .

* * *

Pracownicy Polskiej Y.M.C.A. wpłacili kwotę £23 /dwadzieścia trzy funty/ zebraną w drodze dobrowolnych składek za miesiąc kwiecień i maj 1944 r. — z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.

* * *

Przesyłam Panom Postal Order na sumę sh.21 z przeznaczeniem na pomoc dzieciom polskim w Rosji. Pieniądze złożyły uczennice III klasy Państwowego Liceum i Gimnazjum Ogólno Kształ. im. M. Skłodowskiej-Curie w Szkocji zamiast kwiatów dla swojej opiekunki.

R.S.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £27.11.0 /słownie: dwadzieścia siedem funtów, jedenaście szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,951.1.9 /słownie: dziesięć tysięcy dziewięćset pięćdziesiąt jeden funtów, jeden szyling i dziewięć pensów/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

Koło Opieki nad Żołnierzem w Wielkiej Brytanii, chcąc przyjść z pomocą żołnierzom, którzy złożyli swe rzeczy osobiste u rodzin brytyjskich przed utworzeniem przechowalni P.C.K., otwiera kartotekę adresów brytyjskich u których zostały złożone bagaże, celem ewentualnego wyszukania i powiadomienia rodzin zainteresowanych żołnierzy po wojnie w Kraju.

Koło Opieki nad Żołnierzem w Wielkiej Brytanii wzywa wszystkich żołnierzy w interesie ich rodzin o podawanie danych według następujących wzorów.

Dane personalne żołnierza. Stopień wojskowy, nazwisko i imię, data i miejsce urodzenia, imiona rodziców, adres wojskowy. **Uwaga:** zmiany adresów winny być przesyłane do Koła.

Adres gdzie zostały złożone rzeczy. Nazwisko i imię, dokładny adres pocztowy /z wymienieniem Anglia czy Szkocja/, dojazd koleją czy autobusem, nazwa stacji.

Adres kogo poinformować w Kraju. Imię i nazwisko danej osoby, ewentualnie dwu osób z wymienieniem imion rodziców. Stały adres w Kraju oraz adres według ostatniej wiadomości.

ZARZĄD KOŁA OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM W WIELKIEJ BRYTANII.
7, Greenhill Gardens, Edinburgh.

Staraniem Związku Dziennikarzy R.P. odbędzie się w poniedziałek 12-go czerwca o godz. 6.30 pp. w lokalu Ogniska Polskiego, 45, Belgrave Square, wspólny odczyt por. Jana Nowaka i por. Jerzego Jura p.t.: "KRAJ I EMIGRACJA"
Odczyt zagai
Zygmunt Nowakowski.
Wstęp wolny.

Dla jeńców "paczki od serca": £3,225

Kochany Redaktorze,

Przesyłamy w załączeniu Money Order Nr. TT 39324 na kwotę £47 sh.9 d.11 /czterdzieści siedem funtów, dziewięć szylingów, jedenaście pensów/ uzyskaną ze zbiórki w czasie przedstawień rewii "Piąty Front".

Złożyli ją i przekazują za pośrednictwem "Polski Walczącej" na "Paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech oficerowie i szeregowi następujących oddziałów:

1. Kwatera Główna . . . Dywizji Grenadierów Panc. ...	£10. 2.9½
2. Pierwsza Samodzielna Brygada Spadochronowa /2 przedst/	£19.16.7
3. Obóz P.S.W.K. i Szkoła Podchorążych Piechoty i Kaw. Zmot.	£17.10.6½
Razem	£47.9.11

NA PACZKI DLA JEŃCÓW PRZEZ P.C.K.

Redakcja "Polski Walczącej", Londyn,

Przesyłam Money Order na sumę £5.17.1 /pięć funtów, siedemnaście szylingów i jeden pens/, stanowiącą dochód z zabawy w Świetlicy Lotniczej i uprzejmie proszę o przekazanie tych pieniędzy do Polskiego Czerwonego Krzyża na pomoc polskim jeńcom wojennym.

Świetliczarka Janina Nowińska

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Drogi Panie Redaktorze,

Dziękując panu Janowi Milewskiemu za życzliwą pamięć o nas przesyłam sh. 15 na Fundusz Ratowania Dzieci w Polsce.

Łączymy wyrazy poważania

Grupka znajomych z N.

Dalej przesyłamy kwotę £55.15.11 zebraną w czasie przedstawień Czołówki Teatralnej "Lwowska Fala".

Pieniądze te złożyli i przekazują za pośrednictwem "Polski Walczącej" na "Paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech oficerowie i szeregowi następujących oddziałów:

14 kurs kierowców sam. Kompanii Szkolnej Centrum Wyszkolenia Sap....	£ 3.19. 7
Oddziały Kadrowe Dywizji Grenadierów Panc.	£10.14.11
Widownia żołnierska i cywilna na przedstawieniu w dniu 2.VI. w Edinburghu	£18.15. 8
w dniu 4.VI. w Edinburghu	£22. 5. 9
Razem	£55.15.11

Pragniemy podkreślić, że akcja zbiórkowa spotyka się w dalszym ciągu z niezwykle serdecznym poparciem zarówno żołnierzy jak i polskiej ludności cywilnej. Wszystkim ofiarodawcom przekazujemy za pośrednictwem "Polski Walczącej" wyrazy szczerego uznania i podziękowania.

Łączymy koleżeńskie pozdrowienia

Czołówka Teatralna
"Lwowska Fala"

* * *

Na paczki dla jeńców polskich w Niemczech £0.17.4 /siedemnaście szylingów i cztery pensy/ przekazuje

Dowódca . . Dyonu . . . Pamot.
mjr. K. Mal . . .

* * *

W załączeniu przesyłam "Money Order" Nr. R.E. 30030 na kwotę £1.5.0 /jeden funt, pięć szylingów/ z przeznaczeniem na "paczki od serca".

Por. H. Balc . . .

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £105.8.2 /słownie: sto pięć funtów, osiem szylingów, dwa pensy/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,225.16.3 /słownie: trzy tysiące dwieście dwadzieścia pięć funtów, szesnaście szylingów, trzy pensy/, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

NA DAR NARODOWY

Przesyłam w załączeniu money order na sumę £120.2.0 /sto dwadzieścia funtów, dwa szylingi/ i proszę o przekazanie jej Komitetowi "Daru Narodowego".

Suma powyższa została zebrana przez załogę O.R.P. 'Ślązak".

Kierownik Ref. Prac. Wych.
K.M.W.

* * *

Przesyłam w załączeniu czeki: No. I/G 112924 na kwotę £21.3.1, No. I/G 112925 na kwotę £19 z przeznaczeniem całej kwoty na Dar Narodowy "3-go Maja".

Kwota £21 sh.3 d.1 pochodzi ze zbiórki urządzonej w dniu 3 maja b.r. w czasie akademii wśród żołnierzy batalionu Strzelców Podhalańskich.

Kwota £19 została uzyskana jako dochód z zabawy żołnierskiej urządzonej przez Batalion Strzelców Podhalańskich w dniu 2 maja 1944 r.

II. Z-ca Dowódcy Batalionu
Mgr. M. por.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

HASŁO RZYMU PO ZDOBYCIU GO PRZEZ AMERYKANÓW
. . . "Panem et cigarettes".

MÓWIĄ . . .

Podobno jeden z generałów alianckich na Wschodzie wysłał telegram do gen. Alexandra po zdobyciu Rzymu: "Gratuluję, ale gdzie Rzym, a gdzie Krym? . . ."

"KOMUNIKAT OFICJALNY"

"Ofensywa Sprzymierzonych na węzły kolejowe unieruchomiła w dniu 4 czerwca ważną oś kolejową Rzym — Berlin" . .

W LONDYNIE

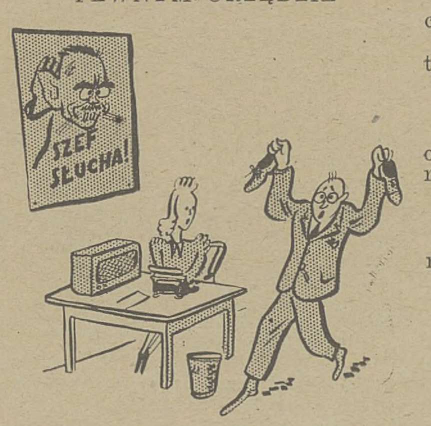
—Wie pan, to fatalne! Rzym padł!
—Więc pan nie cieszy się?
—Pewnie że nie! Wojna się kończy!

JAK SOBIE MAŁY STAŚ WYOBRAŻAŁ . . .



. . . otwarcie drugiego frontu . . .

PO ZAINSTALOWANIU GŁOŚNIKÓW PODSŁUCHOWYCH W PEWNYM URZĘDZIE



—Panie radco, niech pan ciszej wchodzi, szef usłyszy, że się pan spóźnił! . .

PO ZDOBYCIU RZYMU

Mussolini telegrafuje do Hitlera: "Adolfie, ja ci tego nigdy nie zapomnę" . . .

WSPOMNIENIA Z WOJNY

Pewien starszy oficer opowiada:
—Wiecie państwo, że w czasie inwazji Afryki o mały włos, a byłbym porwany . . .
—Hm, chyba przez huragan . . .

W "OGNISKU POLSKIM" W LONDYNIE

—Nie uważa pani, że ta młoda mężatka, pani Dywizjonowska wygląda na osobę bardzo zmęczoną?
—Cóż dziwnego, jeżeli od czterech lat ciągle za nim latała . . .

STARY WYJADACZ

Na przyjęciu w kasynie jeden z kawalerzystów stale wznosi toast na cześć nieobecnych pań. Po godzinie jeden z młodszych podporuczników zapytuje:
—Właściwie dlaczego ciągle pijemy zdrowie pań?
—Ponieważ — odpowiada stary wiarus — jeżeli panie będą zdrowe, to i nam zdrowie dopisze . . .

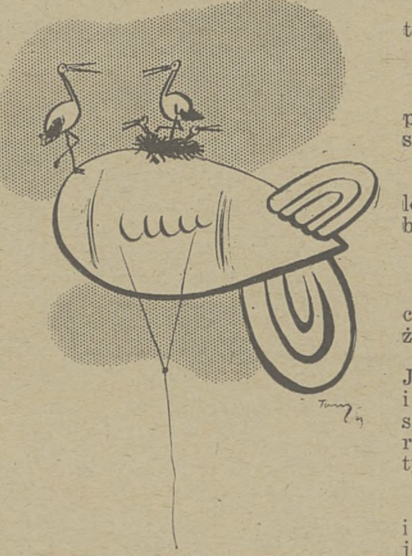
ZMIENIONE PRZYSŁOWIE

"Rzym powiedział — sprawa skończona":
"Roma occupata — causa finita" . . .

NA KURSIE

—Słuchajcie, strzelec Makutra, co od nas leży dalej? Księżyc, czy Ameryka?
—Chyba że Ameryka.
—Dlaczego?
—Bo księżyc od nas widać, a Ameryki nie!

ROZMOWA BOCIANÓW



—Tak miękko to już nam nigdy nie będzie, jak podczas wojny .

KRÓTKOWZROCZNY RODAK



—Czy wolny? . . .

NA IZBIE CHORYCH

—Czy mam się już rozbierać, panie doktorze?
—Jeszcze nie, najpierw proszę mi powiedzieć, co pan wachmistrz zwykle pija?
—Jeżeli pan doktor taki uprzejmy, to prosiłbym o whisky . .

PODCHWYT

—Panie poruczniku, dlaczego pan porucznik nie zamieni ze mną ani słowa w kancelarii?
—A cóż mam do was mówić.
—Chociażby: panie starszy strzelec, a tak papierosika to nie zapaliłby pan?

GAWĘDZIARZ

Pewien polski żołnierz, który walczył pod Tobrukiem, opowiada wrażenia kolegom:
—Mówię wam, walili jak w bęben. Jak prasła bomba, to ja hyc do doła i zakopałem się. Później odkopałem się i do nowego krateru. Za każdym razem zakopywałem się o kilka centymetrów głębiej — i tak w kółko!
—No i co dalej?
—Później kapitan mnie nakrył i zawołał: Słuchajcie kapral! Jak jeszcze zakopiecie się o 5 centymetrów głębiej, to was oskarżę o dezercję!

UDAĆ MUSI SIĘ!

/Trawestacja jiosenki na starą nutę: "W dzień deszczowy i ponury"/.

W dzień zwycięski i ponury,
Z Monasteru idą góry,
Czwóreczkami polskie dzieci,
Idą pewniej już po świecie.

Każdy śpiewa, pogwizduje,
Niechaj Niemiec krzyże czuje,
Zamiast zwiewać do Berlina,
Żre ich sucha, włoska glina.

Patrz na wzgórze, to Cassino,
Każdy kroczy z tęgą miną,
Może uda się, że powrócim znów
I zobaczym miasto Lwów . .
Może uda się, że powrócim i t.d.

Spójrz na klasztor — te ruiny,
To dla Szczepciów są już kpiny,
Szli na skały, jak na Wały,
Rozbijali Niemcom pały.

Może uda się, że Polacy znów
Hitlerowi zrobią rów,
Może uda się i t.d.

Legły miotem szwabskie bosze,
Galarety całe kosze,
My zaś kroczym durch Italia,
Niezły żołnierz jest ten Aliant.

Anders dostał order Łaźni,
Każdy gębę jemu maźni,
Za Cassino co nas sławi,
Niech go czkawka ciągle dławi.

Anders mówi, chłopcy fajno,
Skończmy prędzej z tą ferajną,
By do Lwowa wejść za chwili,
Gdzie tych pludrów będziem bili.

A na szczycie wieje fana,
To chorągiew polska znana,
Niech jej wieje polski wiater,
Naszym wrogom — doesn't matter,

Udać musi się, że powrócim znów
I uciumam miasto Lwów,
Udać musi się i t.d.

Tekst i rysunki: TONY

KOMUNIKAT

Konkurs Zw. Art. Scen Polskich na utwór sceniczny.

W uwzględnieniu licznych próśb i zapytań, Związek Artystów scen Polskich, Gwiazdo Londyn, przedłuża termin nadsyłania prac konkursowych do dnia 30-go czerwca b.r. Termin ten jest ostateczny.

SPIS RZECZY:

Michał Kwiatkowski: Wolność człowieka. — *Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — *Julian Ginsbert:* Wojna na morzu. — Epos bitwy o Cassino /Reportaż fotograficzny/. — *Jerzy Bazarewski:* Idziemy do zdobytego klasztoru /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — *Leopold Hartman:* Pochwała Nowej Zelandii /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Naczelny Wódz wśród lotników. — *Maurycy Karniol:* Atak na Stockholm . . . /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — *Wiktor Budzyński:* Bez blackoutu. — Skrzynka pocztowa. — Na Polaków w Rosji. — Na "Paczki od serca". — *Tony:* Werinajsek. —

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.